

Koza, kurz i trociny



John Sloan, McSorley's Back Room, 1912 r.

Dariusz Pawlicki

W manhattańskiej East Village, przy Wschodniej 7 Ulicy, mieści się coś, moim zdaniem, wartego zobaczenia; i to z bardzo wielu powodów. Mam na myśli pub, którego pełna nazwa brzmi

McSorley's Old Ale House. Jest to prawdziwa instytucja pośród pubów nowojorskich, których są setki. Żadnemu zresztą nie poświęcono tyle uwagi w rozmaitych przewodnikach i Internecie, co właśnie McSorleyowi. Jest on także obowiązkowym punktem na trasach wszelkich „wędrówek” po lokalach tego typu w Nowym Jorku. Także tych organizowanych dla turystów z udziałem przewodnika.

*

Wnętrze McSorleya pogrążone jest w półmroku. Drewniane ściany, od jednej czwartej ich wysokości, pokryte są szczelnie obrazami, rysunkami, grafikami, fotografiami. Z tym, że dekorację ściany za długim kontuarem tworzą setki przedmiotów pokrytych warstwą kurzu: lasek, hełmów, kasków, czapek, figurek rozmaitej wielkości, fajansowych kufl i talerzy, miedzianych i cynowych dzbanów, zdjęć (w tym bywalców pubu), fragmentów urządzeń technicznych.

Wspomniany kontuar, jak również krzesła i stoliki są drewniane. Przy czym te ostatnie tak są zużyte, że sprawiają wrażenie użytkowanych od początku istnienia lokalu. Podłogę pokrywają świeże trociny – to tradycja pubu. Na jej środku stoi koza, która w chłodne dni jest źródłem ciepła. W ustawionym na niej dużym czajniku, przy okazji, gotuje się wodę na herbatę.

McSorley's Old Ale House został założony w 1854 r. przez Johna McSorleya (zmarł w 1910 r. w wieku 87 lat). W początkowym okresie istnienia pubu, do jego stałych bywalców należał Abraham Lincoln. A wiek później wpadał tu na piwo, ilekroć był w Nowym Jorku, John F. Kennedy. Lokal ten nie kojarzył się jednak nigdy z politykami, ale przede wszystkim z artystami, literatami. Właśnie oni, przynajmniej od początku XX w., uznali to miejsce za swoje. I tak, przykładowo, malarz John Sloan, w latach 1912-1930, organizował w McSorleyu wystawy swoich obrazów. Zresztą utrwalił wewnątrz pubu, jak i jego gości, na dwóch obrazach olejnych*. A Joseph Mitchell publikował w znanym miesięczniku *The New Yorker* szkice poświęcone bywalcom tego lokalu i zdarzeniom, które miały w nim miejsce; tematów mu nie brakowało. Po latach teksty te złożyły się na książkę *McSorley's Wonderful Saloon*. Bywalcem McSorleya był również poeta Edward Estlin Cummings. W jego pierwszym tomiku *Tulips and Chimneys*, opublikowanym w 1923 r., znalazł się wiersz bez tytułu, zaczynający się od słów: „Siedziałem w McSorleyu”. W latach 50. i 60. ubiegłego wieku czytali tu swoje utwory poeci związani z ruchem beatnikowskim i hipisowskim. W tym też okresie lokal często odwiedzał pieśniarz folkowy, bard Woody Guthrie. W następnej zaś dekadzie – przybysz z Atlantyku, John Lennon. Źródła milczą jednak na temat tego, czy Guthrie i Lennon prezentowali tu swe umiejętności muzyczne i

wokalne.

*



McSorley's, rys.
Ryszard Sawicki.

Popijając kolejne piwo, słysząc w tle przyciszony gwar, stopy opierając o podstawę kozy, można pisać list, umieszczając w nim, na bieżąco, informacje dotyczące miejsca jego powstawania. Można też zapisywać kolejne wersy jakiegoś wiersza. Do tworzenia takiego utworu zainspirować może, na przykład, widok trocin rozsypanych na drewnianej podłodze, kurz pokrywający wspomniane przedmioty wiszące za kontuarem (im bliżej sufitu tym jego warstwa jest grubsza. Tworzą się nawet niewielkie,

jakby sople), deski podłogi wytarte przez pokolenia bywalców. Pobudzić twórczo może również któreś z mnóstwa zdarzeń, jakie miały miejsce w McSorleyu w ciągu przeszło 150 lat jego istnienia. Nie można też wykluczyć, że w nocy, pomiędzy klientami, przesiadują duchy dawnych miłośników tego miejsca. A jeśli tak, to są wśród nich duchy poetów, którzy niegdyś zamawiali kolejne piwa i ... opierając stopy o podstawę kozy, pisali listy do przyjaciół bądź wiersze.

McSorley w weekendy należy do tych, którzy w dni powszednie nie mają czasu w nim bywać. Przebywają bowiem wtedy, i to długo, w tych miejscach na Manhattanie, gdzie zarabia się dużo, albo bardzo dużo. Natomiast od poniedziałku do piątku, we dnie i noce, można tu zastać liczne osoby, które żyją na zwolnionych obrotach, dla których czas, to nie tylko pieniądź. Wśród nich jest wielu brodaczy. Jeśli chodzi o mnie, to w każdym posiadaczu brody, którego zobaczę w tym pubie, widzę poetę. Gdyby nawet okazało się, że któryś z nich jednak wierszy nie pisze, to z pewnością interesuje się poezją. Najbardziej zaawansowani wiekowo z tego grona, przychodzą tutaj, tak jak przychodzili w połowie XX w., gdy w McSorleyu zaczęto czytać wiersze (w innych pubach i barach East Village i Greenwich Village działa się zresztą podobnie).

Siedząc przy oknach można spoglądać na biegnącą prostopadle uliczkę – Taras Shevchenko Place. Upamiętniając w ten sposób

największego poetę ukraińskiego, nawiązano równocześnie do poetyckich tradycji East Village, jak i do tego, że zachodni fragment tej dzielnicy nosi nieoficjalnie nazwę Little Ukraine. Mieszka w nim bowiem kilkadziesiąt tysięcy Ukraińców i Amerykanów pochodzenia ukraińskiego.

*

W McSorleyu podaje się tylko dwa rodzaje piwa: jasne i ciemne. Jest ono warzone według receptury Johna McSorleya. Jeszcze nie tak dawno odbywało się to w małym browarze znajdującym się na zapleczu pubu. Obecnie piwo jest dowożone.

Warto wspomnieć, że McSorley's Old Ale House należał do jednych z ostatnich nowojorskich lokali z wyszynkiem, do których nie miały wstępu kobiety. Zmieniło się to w 1970 r.

*

Obecność McSorleya, ale nie tylko tego lokalu, w krajobrazie Nowego Jorku, stawia pod znakiem zapytania, żywione powszechnie przekonanie, że jest to miasto zapatrzone w przyszłość, co najwyżej zerkające na teraźniejszość. Okazuje się bowiem, że istnieje również stary Nowy Jork. To fakt, że jest niewielki i nie rzuca się w oczy. Jednak, gdy ktoś zacznie uważnie przyglądać się otoczeniu, dostrzeże jego obecność.

Zauważy pochodzące z XVIII i XIX w. pomniki, fragmenty ulic pokryte kocimi łbami, budynki mieszkalne i użyteczności publicznej, świątynie (m. in. St. Paul Chapel, Trinity Church, Church of St. Luke in The Fields), nagrobki na przykościelnych cmentarzach, niektóre puby i lokale gastronomiczne (np. Ye Waverly Inn).

*

Jak to dobrze, że są takie miejsca (nie tylko w Nowym Jorku), które sprawiają wrażenie, że czas zatrzymał się. A jeżeli nie zatrzymał się, to przynajmniej płynie wolniej.

* Oba obrazy nie są prezentowane w McSorleyu.

Czy małe jest wielkie

– o poezji Floriana Śmieji



Promocja najnowszego tomu poezji Floriana Śmieji „Dotykanie świata” (2016) w Konsulacie Rzeczypospolitej Polskiej w Toronto, 22 listopada 2016 r. Florian Śmieja (z lewej) i Konsul Generalny Grzegorz Morawski).

Maria Magdalena Rudiuk

Florian Śmieja (poeta, tłumacz, krytyk, edytor, profesor uniwersytecki języka i literatury hiszpańskiej) jest, jak sędzę, w porównaniu do innych kanadyjsko-polskich poetów/ek wojennej emigracji, obok Bohdanowiczowej, najbardziej tradycyjny. Przy czym, paradoksalnie, czyż ta poezja nie może być uznana za wyraźną realizację postmodernistycznego wymogu rezygnacji z „grand – narratives”? To właśnie Śmieja zdecydowanie wspomaga postmodernistyczne „mini narratorstwo” – „małe” zamiast „wielkiego”, bardziej lokalność niż globalność, bardziej konkret niż enigmatyczną uniwersalność. To właśnie on – jak to znajdujemy w *Mały wybór wiersz* (s. 23) – wyznaje, *jeśli w krajobraz wchodzić masz, to z sobą i to on nakazuje* sobie czujność, aby *„nie przeszła obok / ta, co się jedynie liczy: intymność*. W świecie wyborów:

można w mroku dnia szarego

pomnażać cuda

i trawić życie wśród bratnich zabiegów

niegłośnym trudem

Obok, Danuty Bieńkowskiej, Zofii Bohdanowiczowej, Andrzeja Buszy, Bogdana Czaykowskiego, Janusza Ihnatowicza, Wacława Iwaniuka, znalazł się Śmieja w Kanadzie w następstwie drugiej wojny światowej. Wszyscy wymienieni twórcy byli „ofiarami” wojny. O ile jednak Iwaniuk (i w mniejszej mierze Bohdanowiczowa) identyfikuje się z postawą „ofiary”, o tyle pozostali zdecydowanie nie pozwalają sobie na zamknięcie się w tej kategorii. Śmieja bez wdziwania cierpiętniczych szat buduje w Kanadzie swój dom, nie zapominając o swoim gnieździe – Śląsku, tej specyficznej części Polski targanej, jak i reszta kraju, bolesnymi historycznymi zmianami.

TAM I TUTAJ - KULTUROWE DYSTANSE I BLISKOŚCI

Florian Śmieja pośród innych wojennych imigrantów w Kanadzie

Procesy adaptowania się w nowym kraju tak różnym od Polski i od Europy nie przebiegały bez oporów. Interesującym faktem jest, że różnice przeżywania kulturowych dystansów i bliskości wydają się być, w dużym stopniu, różnicami generacyjnymi. Najbardziej kontrastująca różnica postaw zachodzi między najstarszymi – najdłużej zakorzenionymi (Bohdanowiczowa,

Iwaniuk), a najmłodszymi – najkrócej zakorzenionymi (Czaykowski, Busza). Dla Iwaniuka problem tożsamości jest „wszystkim”, jest fundamentem myślenia i pisania, Busza jest ponad tym problemem. O ile Iwaniuk bezpowrotnie należy do utraconych miejsc, tak Busza nie przynależy do żadnego miejsca. Świadomie przyjęte, „obywatelstwo” – kulturowe Universum – pozwala Buszy i Czaykowskiemu przekroczyć wszystko to, co dla Iwaniuka było nieprzekraczalnym światem. Dla Czaykowskiego człowiek – mocarstwo wewnętrzne, a nie „miejsca” są ważne” i tak jak u Buszy nie one decydują o tożsamości.

Śmieja, najbliższy wiekowo Iwaniukowi (13 lat różnicy) oddala się od „młodszych” i zbliża do Iwaniuka. Różnic jest jednak więcej niż podobieństw. O ile jednak u Iwaniuka jest to identyfikacja z obrazem zniszczonego swojego „miejsca” (Polski), tak u Śmieji jest to, mniej obraz, bardziej konkret, mówienie wprost – bardziej o Śląsku i jego bolesnych realnościach niż życiu Polski. U Śmieji jest to najczęściej identyfikacja w wymiarze realnym, Iwaniuk operuje znakami, które mają świecić blaskiem szerszych symbolicznych znaczeń utraconego „miejsca”. W obydwu przypadkach jest to kult „miejsca”, ale zarazem uderza odmiennność funkcji: dla Iwaniuka jest to kontynuacja starej partiotyczno-niepodległościowej tradycji sięgającej do romantyków, u Śmieji jest to już nie *pars pro toto* ojczyzna, ale gniazdo – Śląsk, gdzie szuka i odnajduje prawartości siebie i człowieka.

W obydwu przypadkach jest to obrona imponderabiliów, ale dla Iwaniuka to wysiłek docierania do skarbca romantycznych znaków „ojczyzny duchowej”, próba samookreślenia się jako poety – depozytariusza prawdy, mówienie z pozycji poety – autorytetu, kontynuatora dziedzictwa, jako tego kto wypełnia nakaz, realizuje wielki testament. I w konsekwencji rozpacz, bo spełnienie misji, kontynuacja tradycji – bycia wieszczem swego narodu – jest niemożliwa, jakby nie ten czas, jakby zwyciężał paraliżujący poetyckie posłannictwo kosmiczny bezład powojennego świata – potwór Nowego Ładu burzącego dawne świętości. Głos poety – romantycznego patrioty, jest głosem wołającego na puszczy – taki jest status współczesnego poety – imigranta w Kanadzie i w reszcie Zachodniego świata. Zwyciężają „papierowe demokracje Zachodu”, a sięgając do języka postmodernistycznego – coraz głębiej ustala się podejrzliwy stosunek wobec takich wyróżnionych wartości jak: patriotyzm, narodowość czy rasa. Zaczynają one być coraz głośniej rozpatrywane jako jeszcze jeden z groźnych mitów ludzkości, które prowadzą do grozy faszyzmu i nacjonalizmu. Dorobek Iwaniuka zaś swoich dalszych konsekwencjach – jest moim zdaniem – wyrazem poetyckiego energicznego protestu i goryczy, że nie tylko wysiłek walki zbrojnej Polaków w czasie drugiej wojny poszedł na marne, ale tradycyjny polski bojownik sprawy narodowej jest pozbawiony swojego uświęconego etosu, jakby był gatunkiem skazanym na kulturowe wymarcie, niczym kanadyjscy Indianie. Powojenny świat to proces burzenia

świętego dla poety „status quo” . Nic już nie jest takie samo, „biblia nie jest biblią” .

U Śmieji jest obecne porażenie współczesnością, ale nie ma kosmicznego wyjścia świata „z normy”. Zgodzić się trzeba z Marią Danilewicz -Zielińską gdy pisze: ”W poezji Śmieji w stopniu wyższym niż u pozostałych poetów grupy dochodzi do głosu przerażenie współczesnością” (Szkice o literaturze emigracyjnej, Paryż 1978, str. 333). Okres powojenny dla tego poety to dalej świat, gdzie budowanie domu jest możliwe, jak czytamy w wierszu *Nie jestem turystą* i jest to dalej świat tradycyjnych śląskich i chrześcijańskich wartości. To nie Iwaniukowy pocisk-słowo, to nie jest ton narodowej słuszności, wielkich prawd zagubionego poety, ale dominuje u Śmieji mowa ściszym głosem pojedynczego człowieka, który nie stracił wiary, a więc nadziei w „lepsze”.

POEZJA - DEPOZYTORIUM WARTOŚCI

Kontynuator tradycyjnych wartości nie może rezygnować z postawy depozytariusza moralnych słuszności. Także obok decyzji mówienia „ściszym głosem” (wspomnianej rezygnacji z „grand narratives”) podmiot liryczny nosi w sobie jednak cechy człowieka *faustowskiego* - człowieka „słusznej wiary”, w którą składa swe totalne poczucie wartości i znaczenia. W poezji Śmieji przyjmuje on postawę podziwianego przez poetę

człowieka z „charakterem”:

LUDZIE Z CHARAKTEREM

Przez królewicza zhańbiona Lukrecja

nie mogąc z sobą żyć ujęła sztylet;

ponoć z odrazy, że wodził pryszczatym

śmierć sobie zadał ambitny poeta.

Niebezpiecznie żyć ludziom z charakterem:

słuchają głosów chociaż niebo puste

smak cenią wśród powszechnego obżarstwa.

Kiedy przeżyją, to powiedzą o nich

nieutyłani, wstydzić się nie muszą

żadnych lustracji się nie obawiają.

Jak w porównaniu wyglądają inni

co iść musieli na drobne układy;

nie mówiąc o tych, którzy nadal w maskach

co etykietkę za waszą I naszą

sprytnie na tu I teraz pomienili?

Wpierw towarzysze, potem .liberały

z socjalistycznych trybun w kapitalizm

wiatr historii zawsze im wieje w plecy

znów na świeczniki wystawia, bezczelne

gęby chichocą pośród dygnitarzy:

że za pan brat z prokuratorem żyją

to się śmiać mogą nawet z grubej kreski.

Nie sądzę by im sen z oczu płoszyła

ręka, co pisze po nocach na ścianie

bezsukutecznie: proszę państwa do gazu.

(Florian Śmieja, Niepamiętanie, 11)

Kąśliwości pod adresem bliźnich, czy złośczenia na ludzkie przywary nie są obce podmiotowi lirycznemu Śmieji, ale dominuje ton wyważonej refleksji, ton zadumy na upływem czasu i paradoksalnością ludzkiego świata:

DWA MITY

Pisaliśmy ją przez duże E

i przyrównywali do Wielkiej

bo przemożna była potrzeba

naszego wzrostu chociażby

tylko we własnych oczach.

Krwią poiliśmy maki, tułali się

w opłotkach nieczułego świata

cali zajęci sprawą czujni

rycerze za naszą i waszą.

Z pietyzmem mówiliśmy Kraj

naród cierpiący, sama esencja

bezwinnego człowieka

kamienie na szaniec godności

całopalny baranek bez zdrady

solidarna bezinteresowność

chłopcy krakowiacy wyłącznie.

Aż tu się skończył komfort dychotomiii

i znowu chochoł kazał nam się kłaniać:

stąd emigrantom do kraju nie pilno

a stamtąd nie mogą się dość nauciekać.

I znowu, takie wiersze w dorobku Śmieji można uznać za paradoksalnie wspomagające, tak obce poecie myślenie znanych radykałów nowej wrażliwości (Susan Sontag – Nowa wrażliwość i inni jak Richard Gilman, Theodore Roszak...), którzy stwierdzają, że wszelkie wyjaśniania świata tak prymitywne, jak wyrafinowane (w tym racjonalnie kategoryzujące) są mitami, arbitralnymi konstrukcjami ludzi na pewnym etapie rozwoju kultury, w tym ludzkiej świadomości... że wszelkie poznanie i definiowanie jest niczym innym jak tylko indywidualnym bądź zbiorowym posługiwaniem się mitem, a nawet obiektywna świadomość jest niczym innym jak tylko szczytowym osiągnięciem zabiegów mitologizujących współczesnego człowieka.

Przy całym tradycjonalizmie Śmieji, przy uznaniu umysłu zwyczajnego za podstawę poetyckich konstrukcji, tego typu wiersze bronią dorobek Śmieji przed zarzutem dogmatycznego usztywnienia. Warto zwrócić uwagę, że percepcja jakości moralnych, intuicja zła – te zwyczajne doświadczenia każdego człowieka – nie prowadzą tego poety do wysiłków wyjaśniania czym jest *malum culpae* (zło moralne) a czym *malum poenae* (cierpienia), ile raczej odnajdujemy w dorobku wiele ich poetyckich zanotowań jako sposób poszukiwania swojej

tożsamości:

SPÓŹNIONA ARKA

Moja Kanada jest spóźnioną arką
gdzie się rodzaje i gatunki chronią
przed kataklizmem zagniewanych mocy,
pobożną wieżą Babel, co pobrzmiewa
pomieszanymi językami, tętni
lojalistami wielu wzniosłych celów
i kustoszami serdecznych pamiątek.
Ona ochładza rozpalone serca
co tutaj uszły po wielu pożogach,
nakarmi głodnych, pragnących nasyci;
wyrozumiałym gestem wielkodusznych

często przygarnie łotra i blagiera.

W tym kraju można uleczyć nieufność.

Nieraz bohater wojennych dramatów

mieszka naprzeciw dawnego oprawcy

donosiciela, rzecznika przemocy:

Jakby z substancji tak zgoła odmiennych

chciano wypalić nowego człowieka

żadną granicą nie obciążonego,

nie niewolnika plemiennej historii.

(Florian Śmieja, Niepamiętanie, 13)

A jednak to nie fenomen Kanady, ale kultywacja wartości plemiennych i protest wobec kulturowej deprecjacji Śląska jest wartością dominującą i bodaj czy nie istotą przesłania poetyckiego Śmieji. Śląsk to ziemia dla Polski odzyskana, ale dla poety jest utracona. To właśnie śląskie wiersze uwyrażniają

najbardziej bodaj wzruszająco, że poezja tego poety jest bardziej zapisem doświadczenia niż autorytatywną wykładnią słuszności:

ZIEMIE UTRACONE

Ziemie utracone to posiadłości

najbardziej niezbywalne; żadne one

ewangeliczne marności, które mól

stoczy, zje rdza i ząb czasu nadgryzie.

One się zawsze ozywają w ciszy

nawet najbardziej strzeżonej samotni.

Wystarczy na moment zamknąć powieki

a najpełniej zaludnią twój sen. Nic to

że minął czas i narosło dystansów.

Nie ucichł dotąd turkot kół: wciąż dudni

i na wzgórzu sterczą nieme wiatraki

choć dawno zmeły swoje ziarno.

Sędziwa ciotka łaje niepogodę

której już nie ma poza jej lamentem.

Bo nic nie jest bardziej twoje niż tamto

co wtedy utraciłeś: pełne trzmieli

małe pudełko w sadzie pod jabłonką,

chude bociany kreślone niezdarnie

na podniesionym blacie długiej ławy,

u kulawego krawca szyte spodnie,

ostre miętówki z poczekalni dworca.

(Florian Śmieja, Ziemie utracone, 30)

W całościowym spojrzeniu diapazon emocjonalny w wyrażaniu

człowieka i kultury XX wieku jest u tego poety optymistyczny (por. Pukaj, Notes, Odchodzenie, Wnuk...), mocno osadzony w tradycji chrześcijańskiej. Obok tonu pogody i akceptacji życia i kondycji ludzkiej, jak w humorystycznej „Drzemce”:

DRZEMKA

Zdrzemnąłem się nad wierszem Kawafisa

już przy tytule zamknęły się powieki.

Gdy otworzyłem oczy

było po wszystkim:

zdążył odejść Demetriusz

i wcale nie po królewsku

z Macedończyków nawet śladu.

Wiele się może zdarzyć kiedy śpimy

nie wolno zasypiać

nie tylko gruszek w popiele.

(Florian Śmieja, Niepamiętanie, 9)

nieobce mu są jednak melancholijne refleksje o kruchości życia – „jesieni”, ani ton kogoś, komu nieobce są grzechy ludzkie:

KUSZENIE

Ledwo uszedłem z Babilonu

lecz nawet tutaj

gwar słyszę wśród traw

i pośród lilii polnych

że Salomon

nie był taki nagi

jak głosi przypowieść

że lepiej być ziarnkiem piasku

w stołecznej klepsydrze
niż młyńskim kamieniem
w kresowym miasteczku.

Nie bywam na kawie
więc nie wiem dlaczego
tylu geniuszów chodzi incognito.

Nie ma mnie na schadzkach
rosnącego w oczach
klubu nieproduktywów.

Porażka moja będzie zawiniona
osobista, bez ciotki w gazecie.

Koniec niechlubny od rynku
daleko. Nie słyszeli tu nawet

o taryfie ulgowej a pisanie

wierszy jest obciążeniem

wstydlwym.

(Florian Śmieja, Niepamiętanie, 30)

Śmieja uniknął sideł nihilizmu (Iwaniuk, Bieńkowska), ale uobecnia się w jego dorobku dramat ludzkiej niemocy, bezradności:

UCIECZKA

Uszedłem poza zasięg złości

w ustronne lasy.

Zaszytego w gałęziach

telefon nie znajdzie

i nie przyniesie listu cierpkiego

dzięcioł.

Więc tylko myśl
której ujść nie podobna
więc jeno żal
że ręka do podania stworzona
w pięść się zaciska
a uśmiech
liściem spada uwiędłym.
I jak nie zazdrościć
topolom
że rosną prosto
ptakom
że zamiast złorzeczyć – śpiewają.
Jak nie zazdrościć

mimo że wiem

że i we mnie

drzemią trele skowronków

i smukłość drzew.

Mimo że wiem

nie mam

nie mam odwagi

sięgnąć tak głęboko.

(Florian Śmieja, Kopa wierszy, 58)

ŻYCIODAJNE ŹRÓDŁA ŚMIEJOWEGO ŚWIATA

Przy dzisiejszym zagubieniu aksjologicznym, zanikaniu wiary w obiektywną zasadność znaczeń , a w ślad za tym tradycyjnych sposobów nadawania światu sensu, właśnie temu poecie jakby udaje się omijać zawikłania współczesnej świadomości i pozostać wiernym prostocie wiary, że życie jest obdarzone znaczeniem:

ZALECENIA NA WALNY ZLOT ANIOŁÓW

Tak żyć, aby było jaśniej

innym.

Brać tyle

by nie ubyło nikomu.

Czekać, choć wiesz,

że nikt do ciebie nie zapuka.

Wierzyć w człowieka

właśnie, bo zawodzi.

(Florian Śmieja, *Wiersze*, 78)

Ten poeta omija całą plątaninę modernistycznych i postmodernistycznych zawiłości człowieka i kultury, aby pozostać w sferze prawd wzruszająco prostych i powiedzieć to, co dawno odkryte i dalej aktualne:

STAŁOŚĆ CZŁOWIEKA

Biskup saksoński Wulfstan

wołał na progu milenium:

nie lękajcie się, głupi,

siekier ani mieczy

rogatych duńskich rozbójców;

nie trwóźcie się,

kiedy dzioby łodzi

ryją się w wasze brzegi

lejąc po siołach pożar.

Pana się bójcie, rozwiąźli,

co pełne macie komory

i skrzynie a ciało

jedno i brzuch.

Stamtąd pewniejsza zagłada,

śmiertelniejsze zniszczenie.

Powtarzam jego słowa

sprzed lat tysiąca,

nic zmieniać nie trzeba.

Stalość kondycji człowieka

oszczędza wiele zachodu.

(Śmieja, *Wiersze wybrane*, 38)

Czy w dzisiejszym postmodernistycznym świecie taki tradycyjizm podejścia ma status klasycznych staroci, czy jest w tym coś więcej? Śmieja, nie kwestionując stałości kondycji ludzkiej, przeciwstawia się tym samym współczesnemu relatywizmowi, współczesnemu rozumieniu wartości w kategoriach historycznych. Czy faktycznie w dzisiejszym świecie taki głos jest anachronizmem? Czy raczej taki poeta jest jednym

z tych, którzy unaoczniają kulturowy sens wartości ciągle jednak dalej podstawowych?

Dramat współczesnego człowieka wywołany brakiem wiary w transcendentálny porządek omija tego twórcę. Czyż taka tradycyjna postawa nie jest dzisiaj rzadkością? Ten poeta pisze tak, jakby cała postmodernistyczna aktywność destrukcyjna tego, co nazywamy „tradycją” nie dotknęła go. Jakby stare i najnowocześniejsze „zagrożenia” omijały tego szczęściarza:

SZCZĘŚCIARZ

Tyłu umarło z byle powodu

a on się uchował

z nieznaczną blizną na szyi.

Innym nie trzeba było wiele

gdy sam przez okno wypadł

z cegłami w zawody

tylko strachu się najadł.

Widział bomby lecące

prosto na niego

ale zginęli tamci.

Kiedy się zatrzasnęła

żelazna kurtyna.

został po dobrej stronie.

W asyście mglistej pamięci

może o sobie wspominać

bez niewygodnych świadków.

(Florian Śmieja. *Wiersze wybrane*, 66)

Jak to się więc stało, że ani wypadek z dzieciństwa, ani przymusowe roboty, ani okropności drugiej wojny, ani powojenne warunki w Anglii czy wreszcie stabilizacja w

Kanadzie, ani modny i wdzierający się do dusz wszystkich postmodernizm nie zasiały spustoszenia albo co najmniej nie nadwątlili jego przekonań o sile tradycji? Jak to się stało, że te doświadczenia nie zostawiły śladów w postaci niepokoju wobec pewności rozumienia tego, co określamy „normalnością”?

Iwaniuk, aby przywołać go dla kontrastu, poszedł w zupełnie przeciwną stronę. Mimo oporów wobec nowej kultury to katastrofizm, postmodernistyczny apokaliptyzm okazał się dla niego właściwym twórczym kontekstem – znalazł się tam jak w „domu” dla wyrażenia tragizmu człowieka drugiej połowy XX wieku. Iwaniuk nie podźwignął się po przeżyciach drugiej wojny światowej i po powojennej zdradzie aliantów („oddaniu” komunistom jego kraju), nie podźwignął się już po gwałcie odłączenia od życiodajnego źródła – ojczyzny. Nie ukoila go stabilność kanadyjska, co gorsza, może właśnie ta kanadyjska stabilność normalności dla kogoś, kto przeżył wojnę i utratę kraju, była tylko jedną z późniejszych przyczyn zgorzknienia?

Wszystkie te fakty są ważne, ale mnie interesuje głównie znalezienie odpowiedzi na pytanie: jak to się stało, że powojenna kanadyjska rzeczywistość u Iwaniuka staje się światem zanikających znaczeń? Światem, w którym coraz bardziej dominującą wartością okazuje się bezsens? Podczas gdy o dziesięć lat młodszemu Śmieji ta sama tradycja „gniazda” pozwala zachować w tej samej Kanadzie jasne tony tak w

poszukiwaniu, jak w znajdowaniu tego, co najważniejsze w życiu człowieka – sensu? Zaś u pozostałych młodszych twórców ta tradycja gniazda staje się bardziej ważną metryką językowo-kulturową (sygnalizującą ich odmiennność w nowym świecie), niż sferą mocnych aksjologicznych identyfikacji.

„MAŁE JEST WIELKIE”

Obok różnic wieku, osobowości, doświadczeń, wdrożeń intelektualnych i artystycznych, najbardziej intrygujące są dla mnie odmienności wyposażen „miejsca”, odmienności aksjologicznego ekwipunku wyniesionego z „domu”. W konsekwencji widzimy różnorodność, można wręcz powiedzieć kontrastującą odmiennność ukształtowań, co dowodzi tylko bogactwa polskiej kultury.

Ten ekwipunek domu w przypadku Iwaniuka nie stał się konstruktywny, nie pomógł mu unieść ciężarów życia (choć jednocześnie uaktywniał go twórczo). W przypadku Floriana Śmieji właśnie ta siła „gniazda” okazuje się źródłem życiowych mocy. Bo to właśnie tam (vide: Marek Pytasz, Florian Śmieja, *Wiersze wybrane*, Posłowie), na Śląsku, w obszarze pierwotnych wartości, tkwią korzenie Śmiejowej praufności, że życie ludzkie obdarzone jest sensem. Jego zwyciężający wszelkie przeciwności naturalny, znajomy, ziemski, nieuginający się w żadnych okolicznościach zdrowy rozsądek jest właśnie śląskiej proveniencji. To właśnie, obok chrześcijańskich wartości,

tradycja śląskiego szacunku dla pracy, pokora wobec „twardego” życia, zachowanie we wszystkich okolicznościach właściwej miary widzenia – zdrowego rozsądku, pozwala mu widzieć świat taki, jakim jest w swoim zastanym pięknie i w jego możliwościach „upiększania”. W dorobku tego poety odnajdujemy bardzo wyraźne wyeksponowanie wartości życia zwykłych ludzi pracy. To jego twórczość może być uznana za ekspozycję postmodernistycznego „małe jest wielkie” .

W jednym ze swoich wierszy „Wyborni mistrzowie” Śmieja pisze:

WYBORNI MISTRZOWIE

Wyborni byli majstrowie

schludnych śląskich osad

miasteczek z kolorowych klocków.

Onegdaj znajomy proboszcz

pokazywał zdjęcia

frontony starych domów

sacrum u szczytu oddzielne

misternie wymodlone kielnią

i rozumieniem rzeczy ostatecznych.

Błogosławieni, którzy stawiają

kamień na kamieniu

gromadzą budują mnożą.

Ich ciche imiona przetrwają

Wandali Tatarów i nowszych szabrowników.

(Florian Śmieja, *Niepamiętanie*, 8)

Poeta swój program zdroworozsądkowego, realistycznego minimalizmu uaktualnia tak w świecie „tutaj”, jak „tam” i może dlatego nie daje się zwieść żadnym Wielkim Sprawom, Jedynym Słusznościom, żadnym zbiorowym zaczarowaniom. Przeciwnie, jest w tym dorobku czytelne przekonanie o głębokim sensie zwyczajnych celów, tego wszystkiego, co zawsze było i jest sprawą zwyczajnych ludzi. Jest tam obecne przesłanie

„małego”, ale solidnego gospodarowania życiem takim, jakie jest ono dane człowiekowi.

W tej postawie można dopatrzeć się kontynuacji starej tradycji myślenia, wynikającej z etymologicznego znaczenia słowa „kultura”. Jest to myślenie, że ludzka aktywność jest aktywnością kulturową, a więc uszlachetniającą zastany świat. Choć poeta nie wyraża tego *expressis verbis*, jednak przebija się to przekonanie przez cały jego dorobek. Skoro uszlachetnianie / kultywowanie, to ludzka aktywność jest nie byle jaką aktywnością, to nie jest wszelka aktywność, ale tylko ta, która jest moralnym zobowiązaniem do zmiany ulepszającej. Praca „wybornych mistrzów” jest jednym z przykładów tak rozumianej aktywności – dobrej, solidnej pracy, a więc tego, co przez wieki stanowiło fundament w odnajdywaniu sensu życia indywidualnego i społecznego, co jednocześnie – jak sądzę – decydowało o euro-amerykańskiej dynamice kulturowej.

Przy tak rozumianym etosie aktywności jako pracy (aktywności celowej, racjonalnej, ulepszającej) czym jest aktywność poetycka? W „Moim wierszu” poeta wyjaśnia, że jest to „nazywanie głosem ściszonej”:

aby nie pogubiła się

choćby najskromniejsza rzecz

za którą potrzebujący kupi

chleba, schronienie, spokój.

Bo ona mnie obroni.

(Florian Śmieja, *Wiersze wybrane*, 35)

SKRZĘTNY GOSPODARZ SENSU

Żyjemy w czasie traconej wiary we wszystko. Dziś każdy może się szczycić brakiem sensu, autentyczności, zagubieniem, każdy może być pozbawiony wolności i osobowości, przeżywać dojmująco tragizm swojego czasu... Przyznanie prostocie (by nie powiedzieć rutynie) codziennych prac – celów statusu tak wysokiego, jak nadawanie sensu ludzkiemu życiu, wydaje się programem mało atrakcyjnym, zbyt minimalistycznym, trąci myszką o pozytywistycznej proweniencji. Może w protestanckiej części Zachodu byłoby to zjawisko kulturowo „normalne”, ale nie dla Polaka, który (jak mówił filozof Kotarbiński) „wielki duchem nie dba o to, co mu się płacze po podłodze”.

A jednak Śmieja – Ślązak – Polak – Kanadyjczyk uparł się, aby

szukać wielkości właśnie tam, gdzie rzadko kto jej szuka – w zwyczajności, w codziennym trudzie ludzi. I jest to jeden z solidnych fundamentów także polskiej tradycji, tradycji nazywanej ludową w opozycji do tradycji szlacheckiej.

Jeśli więc ten twórca szuka wielkości, to raczej w „małym” – w tradycji codziennej solidnej pracy. Właśnie tam, bo „małe”, ex professo, z racji swojej natury małego, jest osiągalne – realne, namacalne, prawdziwe, od setek lat wypełniające życie tzw. zwyczajnych ludzi. Stara maksyma „ziarnko do ziarnka, a zbierze się miarka” jest przekonaniem mocno zakorzenionym w myśleniu poety.

Dzięki temu programowi – jak sądzę – trudy życia, wojenny szok, powojenna dynamika światów „tutaj” i „tam” były także łagodzone jak każde inne cierpienie. Bo jest to program codziennej krzątającej się dzielności, dyscypliny, racjonalnej hierarchii względów, balansu nie wykluczającego pisanie wierszy.

Czy program Śmieji to mało? – mógłby ktoś zapytać. Śmieja nie proponuje wielkich celów, wielkich sensów. Raczej solidność wszystkich naszych dziennych spraw, sens małego, ale możliwego do zrealizowania, możliwego do wypełnienia i nadania ludzkiemu życiu godnego kierunku. Czy nie tędy droga? Zwłaszcza po tylu bolesnych mitologicznych za-czarowaniach i

rozczarowaniach?

Jednym z głównych elementów różnicujących postawy twórcze polsko-kanadyjskich poetów jest w moim przekonaniu zagadnienie „sensu”. Rozumienie i NIErozumienie, wątpliwości, artystyczne rozstrzygnięcia i niedopowiedzenia są uobecniane w dorobku każdego z poetów. W całościowym oglądzie można umieścić Iwaniuka, Bieńkowską na jednym krańcu (z jego przekonaniem o bezsensie świata i człowieka), Śmieję na zupełnie odległym i przeciwnym końcu. Czaykowski, Busza, Ihnatowicz znaleźliby się pośrodku, choć wcale nie w jednym i tym samym miejscu. Ci ostatni są ciągle w drodze. Są bardziej bohaterami wypraw po „złote runo” niż ofiarami wypraw (Iwaniuk, Bieńkowska), bądź, bez rezygnowania z dalekich wypraw, skrzętnymi gospodarzami sensu bliskiej, zapobiegliwej codzienności (Śmieja).

„Teatr spełnionych

nadziei”



Dorota Ceran

Autorkę książki znam tak długo, jak żyję. Przypadek zrządził, że urodziłyśmy się w tym samym mieście, w tym samym szpitalu i w tym samym mniej więcej czasie. Uzmysłowiłyśmy to sobie po

latach, przy jakiejś wspomnieniowej pogawędce. Potem los sprawił, że chodziliśmy do tej samej klasy w szkole podstawowej, do tego samego liceum i obie skończyliśmy filologię polską.

Ale w życiu dojrzałym nasze drogi się rozjechały. Dosłownie, nie metaforycznie. Za sprawą Joasi, która wyjechała do Kanady, do męża, a potem przeniosła się wraz z nim do USA. Wiedziałam, że jako były pracownik naukowy związany z Uniwersytetem Łódzkim i dziennikarka zajmująca się kulturą, z pewnością nie porzuci swoich zainteresowań, nawet na drugim końcu świata.

I faktycznie, mieszkając w Toronto pracowała dla polskiej gazety o nazwie... „Gazeta” i redagowała jej dodatek kulturalny pt. „List Oceaniczny”, gdzie nadal, już z teksańskiego Austin, przesyła do druku swoje teksty.

Jest osobą, jakich dziś już mało. Zafascynowaną wielkim światem polskiej arystokracji, życiem ziemiaństwa, krakowskiej bohemy, narodowej tradycji i sztuki. Wydawałoby się – banał, może trochę fanfaronady, może ciut egzaltacji... Nic z tych rzeczy. Joasia jakoś tak potrafi powiedzieć słowo „narodowy”, że nie pobrzmiwa w nim żadna nacjonalna nutka, mówi „arystokracja” i nie ma to nic wspólnego z dziwaczными (w mojej ocenie) wizjami rodzimych monarchistów. Być może lata spędzone za Wielką Wodą sprawiły, że nie jest skażona naszymi tubylczymi wojnami, złośliwościami i szowinizmem tzw. prawdziwych

Polaków. Jak Joasia mówi, że ktoś jest Polak prawdziwy, to słyszymy w tym Chopina, Miłosza, Szymborską, a nie wrzaski łysych matołów spod znaku Falangi.

W ostatnich dniach ukazała się książka Joasi pt. „Teatr spełnionych nadziei. Kartki z życia emigracyjnej sceny” i myślę, ba! jestem głęboko przekonana, że wszystkim nam tej książki bardzo potrzeba.

Jest to znakomicie napisane, piórem tyleż lekkim, co precyzyjnym w opisie konkretnych faktów, kompendium wiedzy o emigracyjnym teatrze pod nazwą Salon Muzyki, Poezji i Teatru założonym i prowadzonym w Toronto przez aktorkę – Marię Nowotarską. Artystka zaangażowała do współpracy córkę – Agatę Pilitowską i wielu polskich twórców scen, żyjących na emigracji. Teatr gości też wybitnych aktorów i muzyków z Polski, którzy przyjęli od Salonu zaproszenie do udziału w spektaklach.

Co mnie urzekło, to to, że scena (teatr nie ma swojej siedziby, gra gościnnie) wystawia sztuki, które bazując na filarach polskiej tradycji artystycznej, nie ocierają się w żadnym razie o banał. Salon nie odwołuje się do politycznej, społecznej ani żadnej innej rzeczywistości Polski dnia dzisiejszego, trwając w twardym kanonie tradycyjnych kamieni milowych naszej literatury i naszych symboli. A mimo to jego repertuar nie ma w sobie cienia

infantylnej, szkolnej akademii. Z zasobów kulturalnego skarbcza czerpie i aranżuje to, co najlepsze dla potrzeb swojej sceny i emigracyjnego odbiorcy. Ale nie tylko on jest adresatem – okazuje się, że sztuki tłumaczone na angielski, gromadzą sporą, amerykańską widownię.

Książkę, dość obszerną (ponad 500 stron) czyta się jednym tchem, niczym powieść z wartką akcją. Autorka przywołuje chwile radości i zwątpienia, sceny tragiczne, nieodparcie śmieszne, jak choćby niezamierzone, wynikające z pomylenia elektronicznych przycisków w scenografii, pojawienie się wizerunku Matki Boskiej podczas spektaklu o nieco frywolnym kontekście.

Potrzeba nam jest, jak sędzę, takiego czystego, ożywczego powiewu niezohydzonej polskości. Może, by go wywołać, faktycznie trzeba być daleko stąd?

Joanna Sokołowska-Gwizdka, Teatr spełnionych nadziei. Kartki z życia emigracyjnej sceny, wyd Novae Res, 2016 r.

Książkę można kupić w księgarniach internetowych i stacjonarnych w Polsce, m.in. w sieci księgarni Empik. Za granicę wysyła księgarnia Gandalf:



Dorota Ceran

Dorota Ceran, dziennikarka prasowa i telewizyjna, przez wiele lat związana z Telewizją Polską Łódź. Autorka książki „Smutku nie cenią w Neapolu” (wyd. Novae Res). Córką wybitnego historyka, profesora Uniwersytetu Łódzkiego, specjalisty od starożytności, Waldemara Cerana. Jego imieniem został nazwany ośrodek badawczy przy Uniwersytecie Łódzkim „Ceraneum” – Centrum Badań nad Historią i Kulturą Basenu Morza Śródziemnego i Europy Południowo-Wschodniej.

Książki dla dzieci uczą świata



Małgorzata Piotrowska

Z polską rysowniczką tworzącą w Norwegii, Małgorzatą Piotrowską, rozmawia Marta Tomczyk-Maryon.

Marta Tomczyk-Maryon: Skończyłaś poważne studia na renomowanej uczelni, czyli warszawską Akademię Sztuk Pięknych na Wydziale Projektowania Graficznego. Dlaczego zajęłaś się ilustrowaniem książek dla dzieci? Od początku miałaś taki pomysł na życie i karierę zawodową?

Małgorzata Piotrowska: Oczywiście nie miałam takiego pomysłu. Studiowałam Projektowanie graficzne, czyli plakat w pracowni Macieja Urbańca. Od początku ciągnęło mnie jedna do literatury i obrazu. Mój dyplom to były plakaty, ale wybrałam sentencje z Gogola i Czechowa, które mi się podobały i zrobiłam do nich rysunki. Na przykład do zdania „Każdą rzecz można pogorszyć, chcąc ją uczynić lepszą”. Namalowałam do tego obrazek pięknego jabłuszka, w którym odbijał się ogryzek. W czasie studiów miałam również kontakt z wydawnictwami, dostawałam okładki do zaprojektowania. Czytałam dużo literatury. Nie wiedziałam, co chcę robić, ale miałam poczucie, że studia to przeciągnięcie o pięć lat poczucia, że „wszystko mogę”, gdy tak naprawdę potem nie będę mogła już nic.

MTM: Czy słowo było dla ciebie równie ważne jak obraz?

MP: Tak. Ważne dla mnie były również teksty piosenek, czyli

tzw. poezja śpiewana. Wychowałam się na Młynarskim, Kabarecie Starszych Panów, Grechucie, Magdzie Umer. Słowo było ważne, ale nie słowo powiedziane wprost, tylko takie, za którym kryje się jakaś tajemnica, obietnica. Ale wracając jeszcze do studiów, to Urbaniec mi powiedział, że na pewno będę się zajmować ilustracją. Od razu zauważył moją malarskość, impresjonistyczność.

MTM: Wygląda na to, że jesteś „urodzoną ilustratorką”.

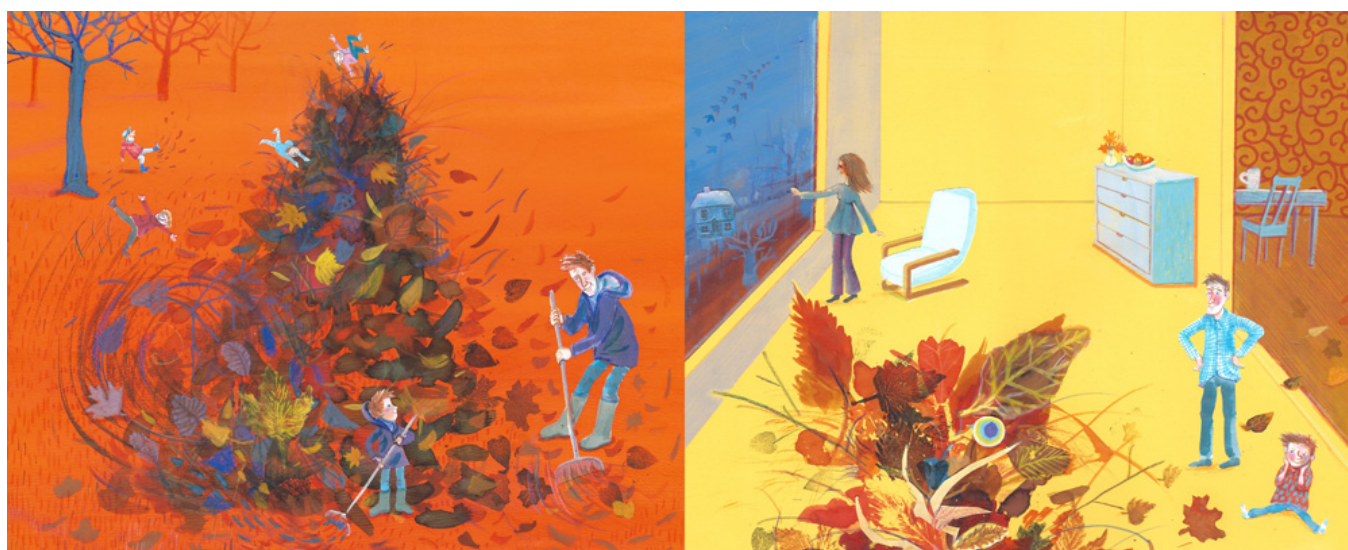
MP: Zawsze wydawało mi się, że książka dla dzieci ma duży potencjał, że można w niej mówić o rzeczach ważnych, ale, że można też z przymrużeniem oka schować się za zabawę. A poza tym jestem dużym dzieckiem. To dziecko jest we mnie cały czas. Zawsze byłam zafascynowana ilustracją w książkach dla dzieci. Jak byłam dzieckiem kochałam oglądać i „obwąchiwać” książki.

MTM: Jakie cechy ma według ciebie dobra książka dziecięca?

MP: Tak naprawdę wszystko zależy od tego, co lubisz. Będę jednak przy tym trwała, że dobra książka dla dzieci powinna zawierać humor. Nie lubię ciężkiej literatury dziecięcej, która zмага się z trudnymi problemami.



Ilustracja z serii „Fire sider av en katt” (Cztery strony kota),



Ilustracja z serii „Fire sider av en katt” (Cztery strony kota).

MTM: Teraz będzie banalne pytanie: czy trudno zrobić dobrą książkę dla dzieci?

MP: Jakby było łatwo to miałabym same bestsellery (Śmiech).

MTM: Gdzie leży największa trudność?

MP: Każda moja książka zaczynała się od impulsu.

Przypuszczam, że tak samo jest z pisanem. Wychodzę od jakiejś sytuacji, która się stopniowo sama rozwija. Często sobie coś tam notuję, szkicuję. I nagle z jednego spontanicznie zapisanego szkicu buduje się historia. Ale na tym polega trudność, na ułożeniu wciągającej historii. Książka powinna mieć swoje tempo, punkty dramaturgiczne, powinna być zbudowana trochę filmowo. Tworzenie książki jest jak reżyserowanie, bo trzeba sobie poradzić zarówno ze słowem, jak i z obrazem, a więc panować nad „aktorami”.

MTM: W jaki sposób zamieszkanie w Norwegii wpłynęło na twoją twórczość?

MP: Po przeprowadzce do Norwegii, zaczęłam myśleć, że w książkach dla dzieci nie musi istnieć tylko bajkowy świat. Pogodziłam się z tym, że książki mogą być osadzone w codzienności, w rzeczywistości. I że w tym też można szukać poezji i głębi transcendentalnej. Mieszkasz tutaj i zaczynasz patrzeć. W każdym miejscu coś nowego ci się otwiera. Uświadamiasz sobie coś, o czym nie myślałaś wcześniej.

Zaczynasz nasiąkać norweskością, również poprzez wrażenia wzrokowe. W moich obrazkach pojawiły się klimaty norweskie: morza, lasy, góry. Norwegia ma bajkowe krajobrazy, więc rozbudowuje wyobraźnię. Jeśli pojedziesz na norweską prowincję zobaczysz jak morze spotyka się z niebem, zobaczysz wodospady,

mgły. Wcześniej tego nie widziałam, nie miałam olśnień czymś tak bajecznym. Na przykład niezwykłym światłem, jakie tu jest, tym, co się dzieje podczas białych nocy, gdy niebo jest niemal białe a kontury wszystkiego są czarne, i że to wszystko odbija się w wodzie. Jasne niebo i czarne kontury. Że zachód słońca jest kontrastowy, ostry. Jak człowiek jest wzrokowcem, to wchłania w siebie wszystkie obrazy. W Norwegii przeszło całe moje dorosłe życie, tutaj dojrzałam, stałam się mamą, patrzyłam jak moje dziecko się rozwija, jakich ma kolegów, jak dzieci tutaj się zachowują. Wszystkim tym nasiąkasz i potem wkładasz bardziej lub mniej podświadomie w swoje książki.



Ilustracja z serii „Fest og feiring” (Święta i celebrowanie).

MTM: Czy na przestrzeni lat zmieniała się twoja technika?

MP: Tak. Najpierw byłam zafascynowana akwarelą. Płynące akwarele zaczęły się jeszcze w Polsce, gdzie udało mi się zrobić jedną książkę dla dzieci. Zilustrowałam baśnie hiszpańskie pt. *Cztery pomarańcze miłości* (aut. Carmen Bravo-Villasante, wydane w r. 1987). Było to niestety wydane na fatalnym papierze, jednak ilustracje stworzone techniką płynącej akwareli wyszły dobrze. Z czasem zaczęłam jednak chcieć panować nad farbą. Może wynikało to z cech mojego charakteru, z tego, że zaczęłam lepiej panować nad swoim życiem (śmiech)? Chciałam wykorzystywać tę technikę bardziej świadomie, a więc, że pozwolę płynąć tej wodzie, ale nie do końca, że w pewnym momencie ją zatrzymam. A potem zaczęłam potrzebować większego kontrastu, uderzenia formy, przestałam się bać pokazać swoją kreskę. Już jej nie zamazywałam, jak wcześniej, gdy pracowałam bardzo cienkim rapidografem z tuszem w środku, tak żeby te kontury i kreseczki znikwały. Był cień, rozlewanki, ale kreski nie było widać. W ostatnim czasie pojawia się więc kreska i zamaszystość. I to mi się bardzo podoba, bo pomaga grać na bardzo różnych strunach, znajdować mocne akordy. Często buduje to ciekawą narrację.



Ilustracja z serii „Fest og feiring” (Święta i celebrowanie).

MTM: Jakie książki polskich autorów cenisz?

MP: Wychowałam się na Brzechwie, jak podejrzewam, każdy z mojego pokolenia. Na Tuwimie trochę mniej. Brzechwę uwielbiałam za jego abstrakcyjny humor, za jego cudowne historyjki i wierszyki. Jedną z moich ulubionych książek była *Na wyspach Bergamutach* z ponadczasowymi ilustracjami Zamecznika, obrazkami, które tak naprawdę mogłyby być zrobione teraz. Lubiłam też prace Mirosława Pokory. Zilustrował świetną książeczkę *Babcia na jabłoni*. Oczywiście także Butenko. *Niewiarygodne przygody Marka Piegusa*, *Cyryl gdzie jesteś?* Te książki miały trochę z kryminału, miały akcję, dużo humoru,

zarówno w tekście jak i ilustracjach. Zawsze lubiłam takie opowieści i może dlatego jestem tradycyjna w moich poglądach na książki dla dzieci. Mam więc wątpliwości, co do trudnych, czasem drastycznych tematów, które są obecnie lansowane w literaturze dla dzieci. Zastanawiam się czy one pasują do książek dla dzieci. Choć z drugiej strony, myślę, że też jest dla nich miejsce i że takie książki powinny powstawać. Jednak nie należy się dziwić, że nie są pierwszym wyborem czytelniczym.

MTM: Co sądzisz o współczesnej książce skandynawskiej dla dzieci?

MP: Norwegowie poprzez swój pragmatyzm reagują szybko na to, co się dzieje w codzienności. Zmiany w świecie, aktualne problemy niemal natychmiast pojawiają się w norweskich książkach dla dzieci. Ale jednocześnie norwescy pisarze mówią o tych problemach językiem przystępnym, ciekawym i niepozbawionym dobrej literackości. Podziwiam ich za to, że potrafią oddać istotę problemu, jego ciężar, a przy tym nadać mu pewną lekkość i przyswajalność. Pamiętam piękne słowa Sveina Nyhusa, dotyczące Breivika, które padły w jednym z wywiadów dla polskich czytelników. Zapytano go czy mogłaby powstać książka dla dzieci o kimś takim. Odpowiedział, że tak, bo dzieci o to pytają i trzeba im odpowiedzieć. Wyjaśnił, że dzieciom się mówi, że to jest chory człowiek. To takie osvajanie problemu. Mnie by to nigdy do głowy nie przyszło, ale szanuję Norwegów

za to, że w bestii potrafią się doszukać człowieczeństwa. To głęboki humanizm.

MTM: A czy podjęłabyś się karkołomnego zadania porównania polskiej i skandynawskiej literatury dla dzieci? Chodzi mi przede wszystkim o różnicę, bo myślę, że podobieństwa są łatwiejsze do wskazania.

MP: Na pewno polska książka dla dzieci jest lżejszego kalibru niż skandynawska. Bardzo często jest ona „zabawą dla zabawy”. Jednak teraz np. poprzez kontakty między wydawnictwami i globalizację wszystko zaczyna się przenikać. Efektem tego jest np. pojawianie się trendu edukacyjnego, w Polsce w książkach Mizielińskich, a w Norwegii u Anny Fiske. Książki stają się coraz bardziej interaktywne, czytelnik musi czegoś szukać, coś budować.

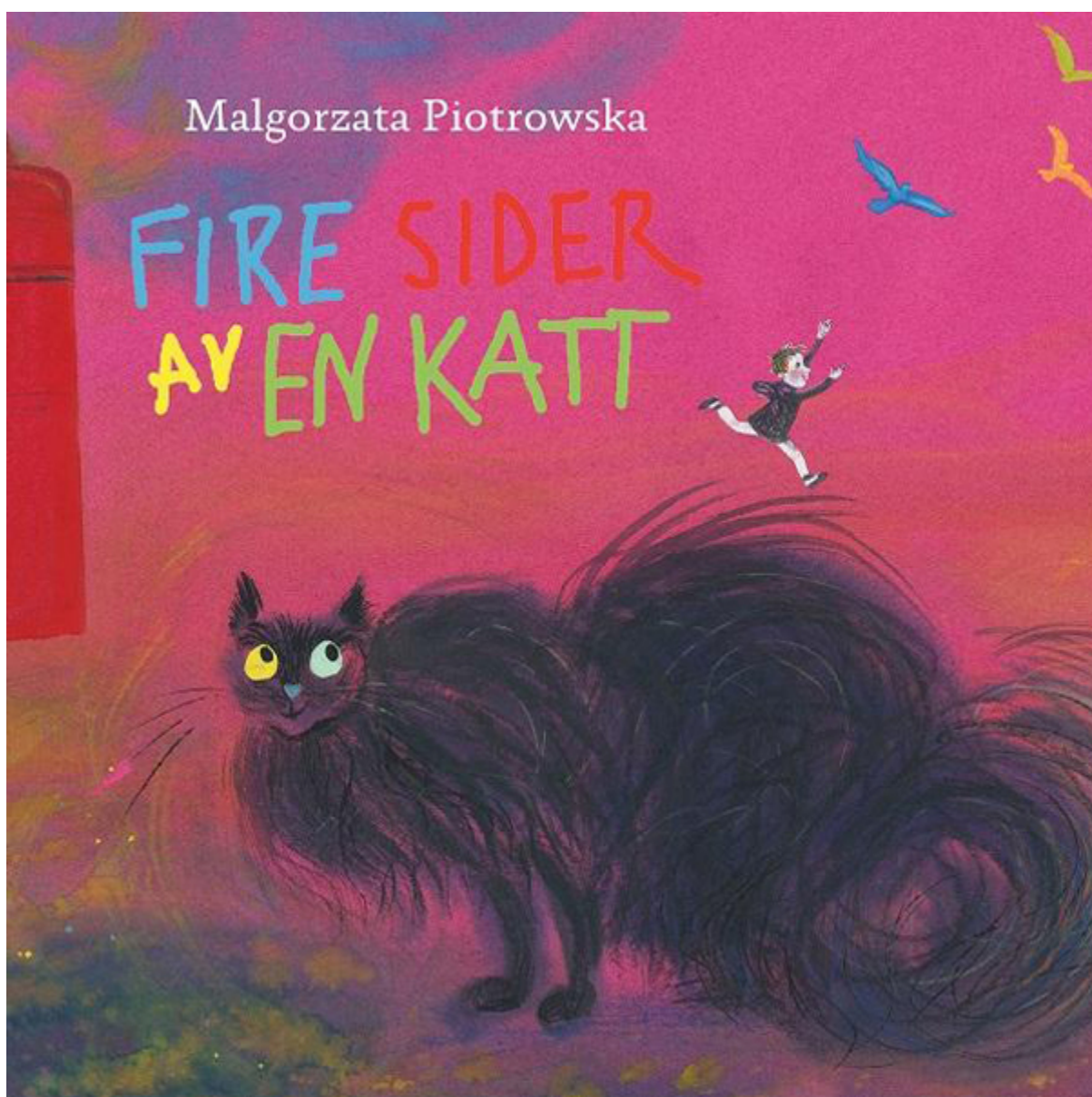


Ilustracja z serii „Fest og feiring” (Święta i celebrowanie).

MTM: Dlaczego książki dla dzieci są ważne?

MP: Są ważne, bo uczą świata, najpierw czytać, potem kojarzyć pewne rzeczy, łączyć obraz ze słowem na podstawowym poziomie. Potem pomagają formułować swoje myśli, żeby można było się coraz lepiej komunikować ze światem. Potrafią również ten świat jakoś tłumaczyć i znaleźć wskazówki. Po prostu kształtują i tyle. Dzieci zaczynają lepiej mówić, poszerzają swój język. Uczą się nowych słów, bo tak jak się pisze w książkach, tak się przecież nie mówi na co dzień. Jako małe dziecko miałam taką zabawę, że wypisywałam sobie słowa, których nie rozumiałam i sprawdzałam je w Wielkim słowniku wyrazów

obcych. Było to zabawne, bo czasem były to słowa łacińskie, albo francuskie i nie za bardzo umiałam je wymawiać. Pamiętam jak kiedyś tata wyśmiał tę moją wymowę. Byłam oburzona, bo przecież używam słowa w dobrym kontekście, a on się ze mnie śmieje?!



MTM: Pod koniec zeszłego roku wyszła twoja najnowsza

autorska książka *Fire sider av en katt* (Cztery strony kota). Rysunki są przepiękne i z pewnością trafią do serca małych i dużych czytelników. Pokochają tę książkę również miłośnicy kotów, czyli jakieś 50% ludzkości. Skąd u ciebie taka miłość do kotów?

MP: Cztery strony kota – czyli spokój i samotność freelansera postawiona na głowie z powodu pewnego kota, który w mroźny, zimowy wieczór pojawił się u nas i postanowił z nami zamieszkać. Ten projekt budował się długo, powstawał z fascynacji i obserwacji kociego absolutnego bycia i życia.

Pracownia w domu ma to do siebie, że można w niej utknąć i w ogóle nosa na świat nie wystawiać. W okresach dużego natłoku pracy albo posuchy i desperackich rozmyślań, co by tu zrobić, żeby dostać nowe zlecenie, staje się swego rodzaju pustelnią, śmietnikiem, gdzie fruwają nieposegregowane, okruszki pomysłów, papiery, farby, notatki, szkice, wzloty i frustracje. I nagle w ten cały mikrokosmos wkracza czarne kocisko, pojawia się świat zupełnie nieznany lecz fascynujący.

Jest takie powiedzenie „jesteś całym moim światem „. Kot w pracowni rozrasta się do rozmiarów wielkiego krajobrazu, w którym wciąż coś się dzieje. Ja staję się jego obserwatorem, skrupulatnie notującym, szkicującym, to, co podsuwa mi samo życie. Tak więc kot w mojej historii jest ogromny, nie jest

zwykłym kotkiem, którego bierze się na kolana i głaszcze. Jest kotem tajemniczym, niezależnym, zresztą sama nazwa długowłosego kota norweskiego ma w sobie magię – Leśny, norweski kot.

Kot chce wejść, za chwilę wyjść, potem znowu wejść, zbiera w swoje futro kolorowe papierki walające się po pracowni, potrafi otrzeć się futrem o rozrobione farbki, pije brudną wodę z naczynka do płukania pędzelków, w mojej wyobraźni jest coraz bardziej kolorowy. Kiedy wraca do domu przynosi w sierści okruszki świata, po którym buszuje: patyki, listki, ślimaki, zasuszone muszki, ale też ptaszki i myszki. Kiedy pada śnieg staje się niemal biały i w prezencie przynosi płatki śniegu na czarnej sierści. Po tym, co wnosi na swoim futrze poznać można zmieniające się pory roku. Czarny kot ma w sobie wszystkie kolory świata.

Stąd pomysł na kota, który zmienia się wraz z czterema porami roku. Chłopiec w mojej historii, nie umie znaleźć dla niego odpowiedniego imienia. Najpierw nazywa go Zima, potem Wiosna, potem Lato, a potem Jesień, by w końcu znaleźć mu imię, które na prawdę do niego pasuje.

W Norwegii panuje taki zwyczaj, że rodzice czekają z imieniem jakiś czas, żeby lepiej poznać swoje dziecko – trochę dziwne prawda?, ale wpisało się świetnie w ten pomysł. A cztery strony

kota w tytule są nie tylko nawiązaniem do czterech pór roku. Są bardzo realne, bo na końcu jest propozycja zabawy, czyli przepis na wycięcie sobie z papieru kota- zakładki do książek. Kota z czterema stronami i pokolorowanie go w cztery pory roku. Jako dziecko robiłam sobie takie zwierzaczki i lalki i bawiłam się nimi, więc dużo wspomnień i moich chwilek jest w tej książce.



MYM: W 2016 roku za cykl książek *Fest og feiring* (Święta i celebrowanie/obchodzenie świąt) razem z Gudny Ingebjørg Hagen, która jest autorką tekstów zostałaś uhonorowana Brage Prisen, jedną z najważniejszych nagród literackich w Norwegii. Serdecznie gratuluję. Jury doceniło zarówno pomysł serii, jak i wykonanie, a więc tekst i twoje rysunki. Na czym polega wyjątkowość tego projektu? Czy praca nad nim stanowiła wyzwanie?

MP: Seria książek o świętowaniu i świętach w różnych religiach, którą tworzyłam z Gudny to zupełnie coś innego. Ogromna praca ze stworzeniem wiarygodnego miejsca, osób, detali. Wymagała intensywnej i ścisłej współpracy z autorem i redakcją. Były różne fazy. Najpierw zostałam wybrana spośród innych ilustratorów. Potem była faza zbierania materiałów do poszczególnych świąt, czyli spotkania z ludźmi z różnych kultur, którzy byli skłonni opowiadać, pokazywać zdjęcia, wpuszczać nas do swoich domów, żeby pokazać swoją kulturę. To są ludzie, którzy tu żyją i są zintegrowani, funkcjonują w norweskiej kulturze, ale jednocześnie mają swoje religie, obyczaje. I trzeba to było pokazać, że chociaż różnią nas religie to świętujemy podobnie – w radości oczekiwania, szykowania się, przygotowywania jedzenia, są bliscy, często drobne prezenty, niespodzianki. Chodziło przede wszystkim o pokazanie, jak jesteśmy wszyscy do siebie podobni. Czułam się trochę jak demiurg, bo to ja miałam stworzyć to miejsce, tę ulicę, na której ci wszyscy ludzie mieszkają. Stworzyć wiarygodne postaci dzieci i dorosłych, stworzyć ramę i furtkę, która otwiera w podobny sposób każdą z książek tej serii.



Ilustracja z serii „Fest og feiring” (Święta i celebrowanie).

Potem była faza dokładnych, czarno-białych szkiców z detalami, które można było dokładnie zobaczyć i ewentualnie zmieniać. Detale musiały być sprawdzone przez konsultantów. Po raz pierwszy w taki sposób pracowałam w takiej dyscyplinie, ale jednocześnie było to też pole do popisu, żeby okraszyć to swoim humorem, coś od siebie dodać. Jako polski ilustrator mogłam dołożyć do historii z książeczki Boże Narodzenie, gdzie występują dwie rodziny protestanci – Norwegowie i Polacy – katolicy, polski wigilijny stół z dodatkowym nakryciem i opowiedzieć o tym polskim zwyczaju. Pozwoliłam sobie też na napisanie po polsku „Wesołych świąt” na jednej z ilustracji. Bardzo dużo dowiedziałam się o genezie świętowania w tych

pięciu religiach. Biorąc pod uwagę, że mam już swoje lata i wielu rzeczy nie wiedziałam, są to ważne książeczki w ogólnej edukacji, w świecie, który tak się wymieszał, tak nas podzielił, ale jednocześnie do siebie zbliżył. Musimy się poznać, zaakceptować, polubić i zrozumieć.



Ilustracja z serii „Fest og feiring” (Święta i celebrowanie).

Małgorzata Piotrowska (ur. 1957) jest jedną z najciekawszych ilustratorek książek dziecięcych w Skandynawii. Do Norwegii wyjechała w roku 1987 i już niespełna trzy lata później

zadebiutowała jako ilustratorka. Ma na swoim koncie ponad siedemdziesiąt publikacji, w tym osiem książek autorskich: *Oliver hos fuglene*, *Regnhesten*, *Et tre*, *Froskedronningen*, *Eplekake*, *Det lille marsvinet og den store katastrofen i hagen*, *Krokodille til jul*, *Fire sider av en katt*. Laureatka wielu nagród m.in.: nagrody norweskiego ministerstwa kultury, dwukrotnie nagrody „Najpiękniejsza książka roku” przyznawanej przez norweskie stowarzyszenie rysowników Grafill oraz Brage Prisen. W roku 2015 została również uhonorowana nagrodą „Wybitny Polak w Norwegii” w kategorii Kultura.

Syberyjskim szlakiem Dargiewiczów. Część



Krzyż w śniegu
1902. Olej na płótnie. 104 x 128 cm.
Własność prywatna.

Romuald Mieczkowski

Widziałem w dzieciństwie takie zdjęcie: opatulona w łachmany para starszych ludzi stoi gdzieś w lesie. Rodzice mówili, że zdjęcie przysłała rodzina z Syberii. Dalsza. Prababka kobiety, będącej na fotografii, była siostrą mojej prababki.

Na stole – dziesiątki zdjęć z Syberii. Przeglądamy je z Tadeuszem u jego w domu – w Olsztynie. To cud, iż z nieludzkiej ziemi zachowały się one. W jaki sposób, to oddzielna historia, o której później. Wykonał je Adolf Dargiewicz. Zaczyna płynąć rozmowa, a wraz z nią – obraz tragedii, jak też szczęścia, bardzo wymiernego – że się po prostu zostało żywym. A tak przecież trudno było żyć w tamtych czasach rodzicom deportowanych, bo młodzi, jak to młodzi. Dla nich inaczej mierzyl się czas, nawet w tych poniżających godność ludzką warunkach.

Na Wileńszczyźnie

Z Tadeuszem wyjaśniamy stopień naszego pokrewieństwa. Jego ojciec miał na imię Franciszek, matka – Wiktoria. Przed wojną gospodarowali na 4 hektarach w Porubanku pod Wilnem. Kiedy rozbudowywano lotnisko, władze polskie wykupiły ziemię, płacąc zupełnie nieźle. Tyle, że za otrzymane pieniądze Dargiewiczowie kupili... 44 hektary w Baraszkach, niedaleko Rudamina. Prawda, najwięcej było lasu, w tym ziemi ornej niewiele, ale opłacało się – rodzina liczyła ośmioro dzieci. W domu nigdy nie przelewało się, ale i głodu nie było. Wszyscy dużo pracowali. Zaplanowali sobie

wykarczować część lasu. Prace utrudniał na obrzeżach obfity w kamienie grunt. Był to wielki wysiłek. Praca odbywała się bez jakiejś techniki – jako narzędzie służyła specjalna żelazna brona, ciągnięta przez konia – reszty miały dopełnić własne ręce, przede wszystkim starszego rodzeństwa, braci Tadeusza – Bronisława, Mieczysława, Wilhelma, Adolfa, Franciszka- juniora.

Wykarczowano osiem hektarów. Drzewa na opał było bez ograniczeń, a i pięknego budulca też. Wzniesiono przestronny dom wraz z zabudowaniami gospodarczymi, wykopano studnię i staw, w którym miały być ryby – karasie i karpie – na święta, do posmakowania. Wielkim wzięciem cieszyła się łaźnia. Ze wszystkich stron, żeby w niej „poparzyć się”, ściągali sąsiedzi, przyjeżdżali z Wilna znajomi.

Pracowali ciężko, ale po pracy ileż było radości! Miejscowość piękna, słowiki śpiewały, a i do Wilna – ręką podać. I perspektywa zrobienia wzorowego gospodarstwa, i radość z tak licznej rodziny, prawdziwego klanu na własnej ziemi.

Idylla trwała niedługo – do wybuchu wojny. Bronisław i Adolf zostali ranni w 1939. Wojna, jak to wojna, trudne były czasy. Mieszkali na uboczu, więc byli pod szczególną obserwacją. Jednego razu, kiedy przybyli dwaj policjanci litewscy i ubliżali rodzicom, bracia mający doświadczenia wojenne ich... rozbroili. Policjanci zaczęli przeżywać i płakać, że Niemcy ich rozstrzelają,

zaklinali na litość i własne rodziny – żeby tylko oddać broń, a już więcej nie będą nachodzić w taki sposób. Kiedy broń im oddano, policjant o nazwisku Mordas strzelił i Bronisława położył na miejscu, drugiemu bratu, który przyczynił się do rozbrojenia, udało się zbiec do lasu...

Nie mniejsza gehenna była w czasach sowieckich. Dargiewiczowie dla nowej władzy byli klasycznymi wrogami, których nie można było nie rozkułaczyć. Ale nie od razu. Stopniowo zabierano wszystko, a co zostawiano, okładano niemiłosiernymi, ponad możliwości ludzkie podatkami. Potem zapadła decyzja wywózki, wszystkich razem. Robili więc wszystko, żeby nie przebywać wspólnie. Mężczyźni ukrywali się, nocowali w stodołach i różnych kryjówkach.

Kiedy zabrano do nowo utworzonego miejscowego kołchozu „Aurora” ostatnią krowę, zaś ta wróciła po paru dniach, to jeden z braci – Mieczysław – nie potrafił ją znowu oddać, wtedy „dla postrachu” strzelał w jego stronę niejaki Kaczanowski, z politruków, który prawdopodobnie w okresie późniejszym wyjechał do Polski. Mieczysław dostał tak wielkiego szoku, z którego nie uwolnił się już do końca życia. Spędził je w szpitalu dla umysłowo chorych w Nowej Wilejce, samotnie zmarł. A już miał odbyć się jego ślub z młodą dziewczyną po sąsiedzku, wyszły nawet zapowiedzi w kościele rudomińskim...



Ferdynand Ruszczyc Most zimą.

Mieli też trudności enkawudziści z Adolfem. Zimą nocował w stodole, był przykrywany deskami w stogu siana, dokąd Tadeusz, jako najmłodszy, nosił jedzenie. Pracował w polu, przebrany... za kobietę; akurat kopał ziemniaki, kiedy dwóch mężczyzn na koniach zwróciło się do niego z pytaniem, gdzie może być Adolf. Wskazał byle jaki kierunek. Żeby mieć zmieniony głos, trzymał w buzi chyba mały ziemniak. Odjeżdżając jeden z enkawudzistów splunął, mówiąc, że w życiu nie widział tak niekrasiwój zenszczyzny¹. Kiedy się połapali, Adolf ukrył się.

- Jeden raz w życiu musiałem wyrzec się ojca - opowiada mój rozmówca. - Przyjechali z zamiarem nas wszystkich zgarnąć. Ktoś widocznie doniósł, że ma wrócić z miasta, dokąd pojechał do młyna. Jako podrostka wsadzono mnie do samochodu, by wskazać ojca. Serce mi mocniej zabiło, kiedy zobaczyłem, jak na Lipówce furmanką jedzie ojciec, ale udałem, że nie znam tego człowieka...

Tak nie mogło długo trwać. Na początku lat pięćdziesiątych wywożono w sposób planowy - całymi rodzinami, o które przecież tak troszczyła się władza sowiecka, a jeszcze bardziej o to, żeby nie było buntów, żeby rusyfikować „wrogów” nowego ustroju *pogołowno*² i „wychowywać” ich przez pracę.

Kiedy 2 września 1951 roku sowieci dość mieli zabawy w kotka i myszkę i przyjechali po Dargiewiczów, głowa rodziny schował się pod łóżko. Na Syberię dowieźli go później, po wielu perypetiach „złączono” go z rodziną.

Na spakowanie dano pół godziny. Pośpiesznie zakłuto parsiuczka³, z sobą zabrali cztery worki kartofli. Z takim bagażem trafili na stację kolejową w Landwarowie. Stąd zaczynała się droga, która na zawsze oddaliła Dargiewiczów od ziem ojczystych. Wywózki uniknęła Anastazja, tuż przed nią wyszła za mąż, nie zabrano Mieczysława, jako nieobliczalnego w swej chorobie, a taki nie był potrzebny ani na Syberii, ani groźny

tu na miejscu.

Trudno dziś powracać do tamtych dni. Tadeusz Dargiewicz milczy przez pewien czas. Potem kontynuuje opowieść. O zgiełku i rozpacz na stacji Landwarowo, gdzie do bydłych wagonów ładowano ludzi wraz z pośpiesznie zabranym dobytkiem, który był w zasięgu ręki. Zapamiętała się mu taka scena: młoda kobieta wsadza dziecko do worka i przerzuca go przez kolczaste druty...

- I oto jesteśmy w drodze - opowiada. - Z zakratowanego okna wagonu z niepokojem obserwujemy teren. Po dwóch dobach jazdy zobaczyłem owies utkwiony do połowy w śniegu, a nad nim chmary wróbli, które wydziobywały małe ziarenka. Ściśnięci byliśmy w tym wagonie. Miał on numer 47, zaś wszystkiego wagonów było 56. Ciągnęły je dwie lokomotywy. Kiedy zagłębialiśmy się dalej na Wschód, robiło się chłodno. Dano więc nam piecyk, potocznie zwany burżujką. Najgorszy był moment załatwiania własnych potrzeb. Przez dziurę w podłodze wagonu. Parawan z koca służył za osłonę. Potem zaczęto nas wyprowadzać na peronach, w eskorcie żołnierzy. Ludzie byli wykończeni. Choć na stacjach panował chaos, mało kto myślał o ucieczce. W większości jechano rodzinami, więc trzymano się razem. Na stacjach dawano kapiatok - wrzątek. Musiał go przynieść ktoś z wagonu. W naszym wagonie zajmowała się tym kobieta, która dziecko zostawiła za drutem. Jednego razu nie

wróciła. Ciekawe – zastanawia się Tadeusz, – jakie były jej losy, co stało się z dzieckiem, czy się spotkali?

Podróż trwała trzy tygodnie, aż wszystkich pod koniec września 1951 roku wysadzono w Tomsku. Nie był to kres przymusowej wędrówki. Nad stromym brzegiem Obi utworzono ogromny obóz spiecpieresienców⁴, którzy mieli „trochę szczęścia”, bo był to łagodniejszy wymiar kary – ludzi tych mogła jeszcze „wychować” mordercza praca, wyrzeczenie się swej narodowości i deklaracja, że „dobrowolnie” chcą tu pozostać.

W miarę przybliżania się do tego miasta, zasieków z kolczastego drutu przybywało. Jak sięgnąć wzrokiem, rozpościerały się łągry. Było tu już chłodno, ludzie brali drzewo z brzegu rzeki i mimo zakazów, palili ogniska. Czekano na dalszy etap zesłania – w głąb tajgi, już drogą wodną.

– Strasznie wyglądało to czekanie. Nękały nas najgorsze przeczucia, tyle przecież wiedzieliśmy o okrucieństwach Sowietów – wspomina mój krewny. – Siarczyste przekleństwa po rusku. Czekaliśmy jeszcze jedna podróż, która trwała tydzień, z przesiadką z barży⁵ na mały statek, który od Obi popłynął w górę rzeki Czaji. Barża ciągnięta była przez statek. Ludzie, schorowani i zdeterminowani, zajęli miejsce w jej dole, w wielkim brudzie i ciasnocie, jak śledzie w beczce. Matka przez cały czas płakała, w pewnym momencie nie wytrzymała i

zwróciła się do żołnierza z wycelowanym do ludzi karabinem ze słowami, żeby zastrzelił ją. Żołnierz na to uśmiechnął się i powiedział: „Mat’, u nas pulia stoit czetyre kapiejki, a ty i tak zdzieś padochniesz, darom.”⁶

Tadeusz znowu robi przerwę. Głos mu drży. A potem, żeby odejść od smutnych wspomnień, opowiada długo, ze szczegółami o statku. Jako małego chłopca interesowała go technika, więc zapamiętał, że statek, którym płynęli Czają, był napędzany drewnem, a była to machina, jakie czasem widzimy na starych filmach – ze śrubą przez środek statku, z urządzeniami w kształcie koła z łopatkami z desek, jakie spotykało się w wodnych młynach. Takie koła były po obu stronach burty. A wokół las. Taki sam. W nieskończoność.

Kiedy dotarli na miejsce, trzeba było przejść kładką, zawieszoną wysoko nad wodami rzeki. Tadeusz pośliznął się i dosłownie w ostatniej chwili za kark go złapał żołnierz. W dole została brunatna toń zimnej wody, która czasami śni się mu w snach syberyjskich. Ale podróż nadal trwała. Dalej była rzeka Niursa. Nad jej brzegami mieli wydatnie przyczynić się do przerzedzenia tajgi w miejscowym LZP – Niurskim Lesozagotowitielnym punkcie⁷. Tu poznali nową władzę – kierownikiem участка⁸ był niejaki Błochin, komentantem od NKWD – Korowin, jego zastępcą – Kobielow. Co do imion Tadeusz dziś nie ma pewności, natomiast tych nazwisk pamięć w żaden sposób nie potrafiła ich

wymazać.

- Miejscowi ludzie zapytali żołnierzy, kogo przywieźli - ciągnie opowieść, - a żołnierze na to: „Eto biełyje bandity.” Mój Boże, to my byliśmy bandytami!

Pierwszym ich miejscem posiedlenia⁹ była „Wośmaja - Ósma, następnie - Zawodskaja, potem - Lesnaja. Wszędzie to samo, bez prądu, z dala od świata i większych osiedli. I wszędzie tacy sami towarzysze niedoli - Polacy, Ukraińcy, Litwini, Niemcy...

W każdym miejscu, nawet tym najgorszym, po wypłakaniu wielu łez, apatii i bezsilności, przychodzi czas pogodzenia się z losem, czas układania sobie życia w nowych warunkach. Na początku spieczpiresielencom dano baraki, przedzielone sienią na dwie części - męską i żeńską. W każdym rogu było po pięciu. Spano na żelaznych łózkach. Baraki przypominały więzienie, co sprawiało, że nastrój był przygnębiający. Dla zapomnienia się Adolf Dargiewicz namawiał kolegów do śpiewania patriotycznych piosenek polskich, na co krzywo patrzyli nadziratieli¹⁰, ale nie mogli nic powiedzieć, bo nie rozumieli, o czym jest mowa w tych piosenkach. Powoli strach ustępował, bo i dokąd to jeszcze można było zesłać? Co jeszcze człowiekowi odebrać prócz życia?

Na początku to najgorzej było z podpisaniem bumagi¹¹, że się chce w tym miejscu pozostać „dobrowolnie” - na całe życie. Nikt

nie chciał tego czynić. Co tylko nie robiono z opornymi! Wsadzano ich do ziemianki, nie tyle piwnicy, co naprędce kopanego dołu.

- Pamiętam, jak w takim dole siedział mężczyzna w mundurze żołnierza. Wojska Polskiego. Tak ubranego właśnie przywieźli go tutaj - opowiada Tadeusz Dargiewicz. - Nazwisko miał Antonowicz. I musiał biedny podpisać na siebie wyrok. Potem jakby nieco ulżyło, bo zaczęły krążyć plotki, że jakieś zmiany będą. I podpisy, które złożyli ludzie, nie będą cyrografem ostatecznym.



Krajobraz

1902. Olej na płótnie naklejonym na tekturę. 46 x 45 cm.

Lwowska Galeria Sztuki.

Swój dom w tajdze

Życie w barakach miało swoje pravidła. Rodziny były podzielone,

więc Dargiewiczowie postanowili zbudować sobie dach nad głową. Taka możliwość istniała. Zazwyczaj domy budowano tu bez jedyne go gwoźdźdza, miały one dwa małe okienka, w środku – gliniasty piec i prycze. Poślanie było z wiór, dla odmiany bywał mech. Jeszcze jeden piec w okresie letnim rozpalano przed domem. Nie było studni. Miejscowi Rosjanie mówili, że jej wykopanie jest rzeczą niemożliwą. Wodę więc zimą brano ze śniegu, latem, gdzie się tylko dało, najczęściej spod karczy. Była to brunatna ciecz o specyficznym zapachu i smaku.

W takich domach było niezwykle ciasno, ludzie nie mieli dosłownie nic, panowała niewypowiedziana nędza, wręcz prymitywne bytowanie. Ale nie można było odebrać tej małej namiastki wolności, dzięki której mogli mówić w swych ojczystych językach, do woli modlić się i wypłakać, z dala od cudzych oczu.

Jako-tako układali sobie życie. Najlepiej sobie radzili Niemcy. Ich domki wyglądały schludnie, wzniesione były z dużą pomysłowością. W ogóle to dziwne – zastanawiał się nieraz w trakcie swej opowieści Tadeusz, że człowiek w warunkach tak ogromnego przygnębienia zachowuje tak wielką chęć życia, dąży do zapuszczenia korzeni – na obcej ziemi, z uporczywą myślą, że na krótko.

Po pół roku dowieziono ojca, choć żadna to pociecha, że nie

udało się mu ukryć. I wtedy przystąpiono do budowy domku. Ojciec ociosywał bierwiona, które przekładano mchem. Z wybudowaniem tego gniazda na obczyźnie poczuli się różnie. Choć było ciasno, to ciepło w czasie trzaskającej mrozami zimy. Najgorzej było wiosną – w szparach siedziały jakieś syberyjskie świerszczyki, które wydawały bardzo głośne i nieprzyjemne dźwięki, wylaziło też różne robactwo i wszechobecne w tych stronach karaluchy.

Sąsiedzi

- Spośród naszych syberyjskich sąsiadów – wspomina mój krewny – było dużo ludzi spod Lwowa, Stanisławowa, Halicza. Niemal wszyscy znali polski. Niektórzy mówili po ukraińsku, ja też nauczyłem się tego języka. Za wyjątkiem Niemców, byli też inni obok nas ludzie – jak to się potocznie mówi z Kresów. Od nich też wziął swój początek miejscowy cmentarzyk.

Żyło się bardzo zgodnie ze sobą. To Tadeusz podkreśla kilkakrotnie. Prócz ludzi wspomnianych narodowości byli też Rosjanie. Mieli oni jednakże inny status, który pozwalał im zajmować kierownicze stanowiska. Byli to też zesłańcy, nawet ci z ramienia NKWD musieli gdzieś „przeskrobać się”. Miejscowych od razu można było odróżnić. Byli wyrozumiali, podobnie, jak potomkowie wcześniejszych zesłańców. Jeden z nich to nawet żegnał się, interesowała go wiara w Boga. Należał do grona tych,

których przodkowie może trafili tu jeszcze za cara.

Patrząc na *specpieresieleńców*, Rosjanie kiwali milcząc głowami. Znacznie wcześniej od obecnych zesłańców, ich rodzice przekonali się na własnej skórze, co to znaczy być kułakiem. A przecież wielu z nich posiadało gospodarstwa, stadniny koni, zakłady i sklepy. O tym głośno nigdy się nie mówiło, ale wszyscy wiedzieli. Swą gorycz topili w wódce. Jeden z potomków jakiegoś znanego rosyjskiego rodu przedsiębiorców Tadeuszowi powiedział tak:

- Cała nagroda za pracę, to butelka wódki. Jak nic nie można mieć przy tej władzy, to co robić? Z pijanego, to i *spros*¹³ mały i nie narazisz się proletariatowi...

Różni byli ludzie spośród miejscowych. Serdeczni i uczciwi, prawdomówni i bardzo skryci. Wśród nich byli i donosiciele.

- Kiedy poszedłem do brata, który pracował w innym *posiołku*¹⁴, osiem kilometrów od nas, by go odwiedzić i porozmawialiśmy sobie po polsku, ktoś doniósł, że poszedłem buntować - wzdycha Tadeusz, - no, i musiałem oberwać.

Zresztą co się dziwić ludziom? Byli kompletnie zdezorientowani, ciągle wmawiano im, że mają do czynienia z „wrogami ludu”. Informacja docierała tu skąpa i odpowiednio spreparowana. Żeby

ludzie zbytnio nie główkowali, dano im pracę niehumanie ciężką i za marny grosz. Byle tylko utrzymać się przy życiu. Pod warunkiem, że zdrowie nie nawali.



Ferdynand Ruszczyc, Stare jabłonie.

Wychować miała praca

I o tym ciągle przypominano *specpieresielencom*. Ojciec mojego rozmówcy, Franciszek Dargiewicz, tak się szczęśliwie ułożyło, nie pracował ciężko fizycznie. Był zajęty przy koniach, robił uprzęż, co w tamtych stronach mało kto potrafił. Była to rzadka tu umiejętność.

Do podstawowego zajęcia natomiast należał wyrąb lasu. Były

wyznaczone „normy” – i chcesz czy nie, miałeś je wykonać. Trzeba powiedzieć – podkreśla w rozmowie Tadeusz – pracowano szczerze i uczciwie, nawet zbyt uczciwie – po chwili poprawia. Taki sąsiad Dargiewiczów w niedoli Krasowski, to z przepracowania na zawsze pozostał w tajdze, znajdując tam miejsce wiecznego spoczynku.

Krasowscy pochodzili również z Wileńszczyzny. Ich dziadek był w Krasnojarsku. Pisali podania, bo chcieli być razem. I przyjechał – bardzo sympatyczny, wykształcony starszy pan. Przez cały czas kogoś dowozili w ramach „łączenia” rodzin.

Piłowane drzewo ładowano do tzw. motowozów. Taka lokomotywa była napędzana *czurką*, czyli brzoźowymi kłocami, które służyły jako paliwo. Oczywiście, większe i potężniejsze motowozy napędzane były ropą. Dowożono też nimi ludzi do pracy. Zimą w środku wagonu instalowano burżijkę.

A praca rzeczywiście była dla wytrwałych. Zmuszano harować na mrozie, nawet przy temperaturze niższej minus 43⁰, choć był jakiś regulamin zabraniający pracy w takich warunkach.

- Jednego razu – opowiada Tadeusz – kierownik lesozagotowitielnego punkta Trikoz zobaczył, że w czasie siarczystego mrozu ludzie obiad jedzą w baraku. Ze złością przewrócił stół, wylewając kipiatok. Żadne perswazje nie

pomogły, poszli pracować. Nic dziwnego, że niektórzy nie wytrzymywali, albo zostali do końca życia kalekami. Dobrze i to, że drzewa nie żałowano – niekiedy przy ogrzewaniu zziębniętych rąk, zapalały się kufajki. A ubranie trzeba było bardzo szanować – na rok przydzielano jedną parę kierzowych butów, kto znosił je szybciej – miał biedę, inne ubrania przydzielano jeszcze rzadziej.

Piły były motorowe. Istniały już stacje elektryczne, uruchamiano dzięki temu pracujące na ropy generatory. Prawda, jak był większy mróz salarka, czyli ropa stawała się gęsta, ale jakoś to pracowało. Każdy z drwali miał 200-300 metrów kabla, żeby się podłączyć. Pracować od takiego zasilania mogło naraz pięć-sześć pił. Przy wyrębie zatrudniano również kobiety. Dla nich była praca „łatwiejsza” – siekierkami oczyszczwały drewno z gałęzi. Ciężko pociły się konie przy wakałuszach – krótkich saniach do wożenia kłoców drewna. Wykorzystywano i traktory, ale w tym kraju wszystkiego brakowało, a mechanizmy ciągle się psuły.

Były, rzecz jasna, i własne piły. Z bardzo cienkim ostrzem, łękowate. Zakładali się leSORUBY¹⁵, że najgrubsze drzewo taką z pozoru małą piłą zetną w ciągu pięciu minut. I ścinali. Życie ich nauczyło wielkiego mistrzostwa. Piła była ważnym narzędziem w tajdze – był nawet specjalista, który je szykował i naprawiał. Nazywał się piłopraw.

Ścinane kłocce zwożono z tajgi nad brzeg rzeki. Tu układano je

sztabelami¹⁶. Od wiosny drzewo spławiano w dół do Obi. W tym czasie trochę więcej można było i grosza zarobić – chodziło o to, żeby jak najszybciej kłocę zepchnąć do rzeki, bo jeśli drzewo można ścinać przez cały rok, to czas spławu ograniczony był klimatem. Przy pracy w lesie dochodziło często do nieszczęśliwych wypadków, ludzie ginęli, bądź tracili zdrowie i nikt za to nie odpowiadał.

Istniały inne zajęcia. Robiono drewniane części do broni. Inne zawody należały do „elitarnych” i rzadko kto je ze specjeresieleńców wykonywał. Niektórzy, prawda, pracowali przy bydle, szykowali siano na zimę.

Z tym szykowaniem siana to bardzo rzecz dziwna była. Otóż miało się wrażenie, że stogi są bardzo duże, a w zasadzie siana było tam niewiele. Z różnych powodów. Przede wszystkim należało zrobić podłoże, bo grunt był podmokły – ponadto wypadało dużo śniegu, więc tak łatwiej można było je wydostać. Stogi układano więc wysoko – na gałęziach, karczach. Po drugie – wykonując „normy”, starano się ze wszech miar wykiwać naczałstwo.

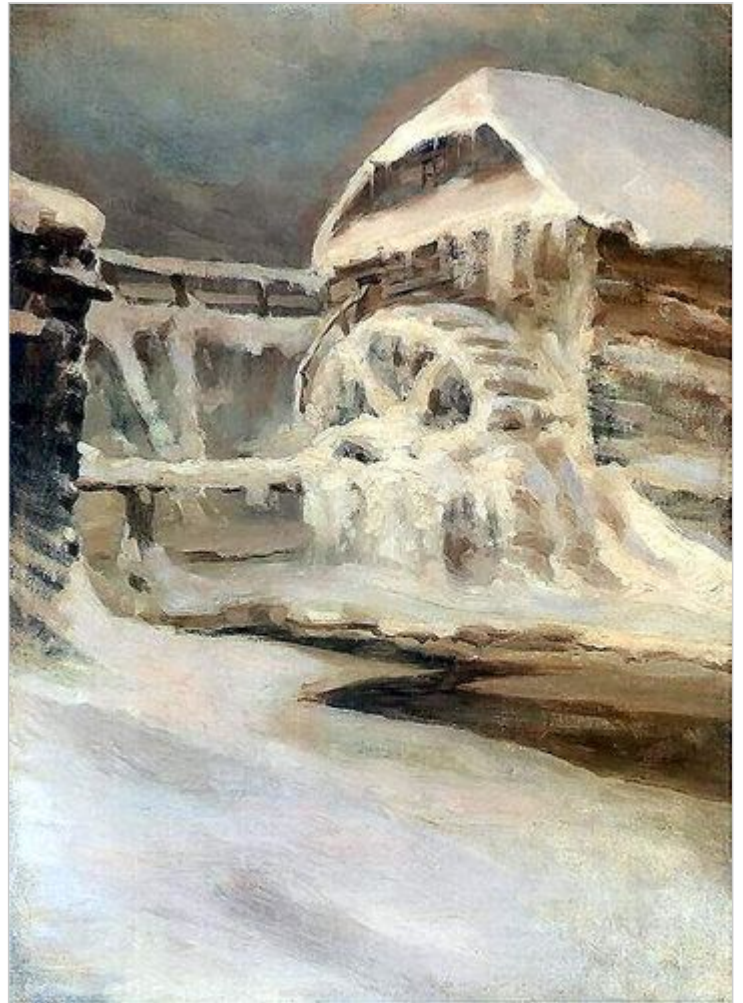
Obok picia wódki takie oszukaństwo, jak też przekupstwo czyli błat, należało do czynności, których w tych warunkach musieliśmy obowiązkowo się nauczyć. Ma się rozumieć, gdyby wszystkie zalecenia, instrukcje i rozkazy przyjmować serio, ofiar

- zupełnie niepotrzebnych - byłoby znacznie więcej. Tu życie ludzkie rzeczywiście nic nie znaczyło - z wielkim trudem, niezwykłym poświęceniem przygotowane drewno, gniło gdzie indziej lub spisywano na straty. Nawet nikt nie nazywał tego niegospodarnością. Drzewa, jak i innych surowców, w tym kraju nie musiało nigdy zabraknąć.

Przy wyrębie lasu gramatności nie potrzeba było. Może trochę więcej można było ją spożytkować, kiedy trafiało się do ekspedycji. Ale najczęściej brano do niej głównie kobiety - żeby nie tracić męskiej siły roboczej. Ekspedycja polegała na tym, że wytyczano szlak, którym drzewo dostarczano nad brzeg rzeki, wytyczano też szlak dla kolei. Na czele takiej wyprawy stał ktoś z władz.

I tak mijały dni na nowej ziemi. Mijały kolejne rocznice zesłania, niezliczone kłoce potężnych cedrów syberyjskich, ściętych rękami Polaków, płynęły w kierunku Obi, a stamtąd dalej, ku sławie „socjalistycznej ojczyzny”.

Zajęcia specpieresielenca Tadeusza



Ferdynand Ruszczyc Młyn zimą.

- Jestem najmłodszy z rodziny, w momencie przybycia na Syberię miałem 16 lat. Nie mogli mnie zatrudnić przy wyrębie lasu, bo wtedy byłem pacan²⁰ - mówi mój krewny - Pierwszym moim solidniejszym zajęciem, jeszcze na etapie, przed wyruszeniem w głąb tajgi, było odwszawianie. Zawód nazywał się weszoprud czasami weszoboj. Obsługiwałem dość skomplikowane ustrojstwo²¹ - ludzie oddawali mi swoje ubranie. Ja umieszczałem je w takim metalowym pojemniku, zawieszałem na blaszanych

jego ścianach, zaś u dołu był rozpalony ogień. Pod wpływem temperatury wszy wyłaziły z ubrań. Trzeba było uważać, żeby łachmanów nie spalić. Miałem obserwować termometr – żeby nie dawać więcej żaru niż na 90 stopni. Ileż kilogramów tego świństwa wtedy mogłem zebrać?! – dziwi się Tadeusz.

Potem był płotnikiem, czyli stolarzem, ze specjalnością wyrobu trumien. Fachu tego nauczył go nadwożański Niemiec, których liczne zsyłano w tych latach na nowe posielenia. Razem robili też ramy do okien, drzwi, inną stolarkę.

Przez pewien czas sprawował funkcję obchodczyka²², coś w rodzaju torowego. Do obowiązków należało dopatrywanie torów, po których jeździły motowozy. W tych warunkach klimatycznych dość często trzeba było je naprawiać.

Kim się tylko nie pracowało! Pomagał kowalowi, który „wszystko potrafił naprawić”, przyjaźnił się z jego młodszymi od siebie synami, mówiącymi pięknie po polsku. Mianowano go koniuszym, a konie były dzikie, gryzły, kopały... Szczególnie dobrą opiekę musiał mieć koń, którym jeździł towarzysz kierownik.

– Bałem się tych zwierząt – przyznaje się Tadeusz. – Jednego razu zmuszano mnie, żebym pojechał do miejscowości, odległej 50-60 kilometrów, samotnie nakarmić sianem byki. Kiedy poprosiłem, żaby ktoś pojechał ze starszych ze mną, komendant NKWD

Korowin tak wlepił mi w nos, że do dzisiaj pozostał skrzywiony. Byli różni ludzie, wielu serdecznych spośród mieszkańców, a w administracji, niestety, nie brakowało złych, wręcz podłych.

Chodził też pieszo 40-kilometrową trasą do osiedla Podgornoje, gdzie była poczta, żeby przynosić paczki. Ciężko było z nimi pokonać drogę, ale wśród innych były paczki od krewnych, a one pozwalały utrzymać się przy życiu. Na trasie mieszkali Rosjanie, u których można było przenocować. Niektórzy podejmowali bardzo gościnnie, nawet częstowali samogonem, mówiąc łagodnie: „Priwykaj, malczik.”²³ W jednym z domów Rosjanka pokazywała mu zdjęcia Polaków, zesłanych dawno przed nimi.

Kiedyś przydzielono Tadeusza pomagać Ukraińcowi, który pracował na kolei. Ale nie zrozumieli się i rozebrał... nie ten barak przy torach, który trzeba było. Bardzo się przestraszył, ale Ukraińiec, bardzo poczciwy człowiek, tylko machnął ręką.

Różne były zajęcia, tak też szybciej leciał czas.

Niestrudzony fotograf Adolf

Brat Tadeusza należał do ludzi bardziej oświeconych i wrażliwych. Miał wykształcenie średnie, interesował się historią, literaturą, a wiadomościami dzielił się z innymi. W tajdze pisał wiersze, które śpiewano jako piosenki.

Jest też Adolf autorem unikalnych zdjęć z Syberii. Jakimś cudem udało mu się zdobyć aparat fotograficzny, który przemycił do posielenija. Ryzykował tym, bo wszystkie cenne rzeczy należało oddać do kamiery chranienija²⁴. Ale jakoś potem ludzie przyzwyczaili się do jego aparatu – choć niektórzy bali się pozować do zdjęć.

Gdy ludzie nie chcieli pozować, Adolf mawiał: *Pamiętajcie, przyda się to.*

– No i przydało się – stwierdza jego brat Tadeusz, – komu do akt sądowych, komu do świadectw kombatańskich. Niektóre weszły do kroniki sybiraków, a wiele jeszcze nigdzie nie publikowano.

Tych zdjęć zachowało się kilkadziesiąt. Zebrane zostały po krewnych, którym niegdyś wysyłali. Nie tyle z posiołka, co z miasta Kołpaczew, skąd mniej sprawdzano. A do miasta tego udawał się Adolf byle był jakiś pretekst, nawet symulując chorobę, bo tam mógł dokonać zakupów niezbędnych materiałów. Ale niełatwa była sprawa zrobienia odbitek bez prądu elektrycznego. Papier był więc naświetlany w specjalnym urządzeniu. Zasada jego działania była prosta: na krótko należało odsłonić otwór, przez który sączyło się... światło słoneczne. Taka klasyczna camera obscura! Jak wykazują zdjęcia – wyniki okazały się dobre, wręcz fenomenalne: bez względu na niemal półwiecze od tamtych czasów, zdjęcia nie pożółkły. Utrwaliły najcięższe

fragmenty życia rodziny Dargiewiczów, innych ludzi, którzy już nie żyją, jak również tych, czyje losy pozostają nieznane.

A przecież nie tylko nie wolno było robić zdjęć, ale też żadnych rysunków, zapisek! Jedno z takich zdjęć z podpisem „Pamiętka z Sybiru” otrzymała i rodzina Mieczkowskich.

- Pamiętam, jak na początku posielenija - opowiada Tadeusz, - kiedy jeszcze ojca nam „nie dowieziono” i w Tomsku oczekiwał na wiosnę, żeby wraz z innymi dotrzeć do nas drogą wodną, napisałem mu list z prośbą, żeby kupił mi grzebień ze względu na wszy. Ile miałem przykrości, gdy list trafił do naczalstwa! Potem miejscowi radzili, żeby o ważnych rzeczach w listach nie pisać, bo grzebień, to już „sprawa polityczna”. Jeśli coś prosić o przysłanie, to najlepiej dustu²⁵, który działał bardzo skutecznie na miejscowe insekty.

Przeglądam po raz któryś zdjęcia, zrobione w dalekiej Syberii, i nie mogę ukryć podziwu dla tej pasji Adolfa Dargiewicza, zamieszkałego obecnie z rodziną w Białymstoku. Z fotografii na nas patrzą pieresielency, ubrani grubo w nędzne łachmany, cień niepewnego uśmiechu błąka się na ich smutnych twarzach. Zdjęcia ukazują różne strony życia na Syberii, ludzi przy pracy. Dopełniają one kronikę syberyjskiego szlaku nie tylko rodziny Dargiewiczów, lecz wielu, którym wypadło razem żyć i dzielić trudny los.



Ferdynand Ruszczyc, „Obłok”, 1902, olej
na płótnie, 110 x 80 cm, wł. Muzeum
Narodowe w Poznaniu.

Życie w tajdze

Choć los wypadł ciężki, to nie można było nie podziwiać majestatycznego i surowego piękna otaczającej przyrody. Mieszkańcy z naszych stron po syberyjskiej gehennie potem raczej nie spotykali tak dorodnych i olbrzymich drzew, które tu umierały stojąc, przeżywszy kilkaset lat. Dwa razy do roku – wiosną i jesienią – przechodziły bardzo groźne burze, które dokonywały naturalnej selekcji w tym dziewiczym lesie: padały drzewa stare i chore. Prócz cedrów rosły tu pichty, brzozy, osiki.

W sklepie w posiołku można było kupić orzeszki cedrowe, z których wypiekano kiedrozi – chrupowate placki o smaku oleju drzewnego. Był to przysmak, do którego się przyzwyczajało z konieczności. W dodatku nie pozostawała sucha patelnia.

Jak się mawiało – tajga karmiła. Rosły czarne jagody, żurawiny. Tylko trzeba było uważać, żeby nie zabłądzić. Jednego razu, we wrześniu – wspomina Tadeusz – znaleziono po kilku dniach poszukiwań ciała zamarzniętych na śmierć zbieraczek żurawin – Polki, Rymszewicz, i Ukrainki. Pochowano je razem na miejscowym cmentarzu.

W tajdze rosło coś w rodzaju krzyżówki – między maliną a truskawką. Były to jagody z niskich krzaków, podobne do jeżyny, o słodko-kwaśnym smaku. Dopiero pod koniec zesłania Tadeusz odkrył w wąwozach zarośla dzikiej porzeczki. Jagody dostarczały niezbędnych organizmowi witamin. Gdyby był cukier, można by przygotować niezliczone zapasy konfitur. W tamtych miejscowościach natomiast zupełnie nie było grzybów – ze względu na duże zabagnienie terenu.

Ziemi mogłeś wziąć, ile tylko chciałeś. Nie był to teren wiecznej zmarzliny i dlatego rosły tu ziemniaki. Sadzono je przy pomocy łopat. Ziemniaki były bardzo smaczne. Może dlatego, że zawsze ich brakowało. Problem był też z ich przechowaniem – mróz trzymał od września aż do maja.

Przy wybitnie kontynentalnym klimacie nie notowano dużych wahań temperatur i lato było bardzo upalne – przyroda jakby chciała nadrobić czas śpiączki w chłodzie, więc cykle wegetacyjne odbywały się bardzo intensywnie. Ale była inna zmora – komary. Noszono specjalne siatki i grube ubrania. Żeby wydoić krowy, rozpalano ogniska, same zwierzęta były mniej narażone, ze względu na długą sierść. Ta rasa bydła była przystosowana do warunków tu panujących. Czasem bydło wyruszało do... tajgi i zazwyczaj powracało, po tygodniu lub dwóch. Krowy były prawdziwą podporą tutejszego życia – nie tylko dawały mleko, można było zaprzęgnąć je do sań, by – na przykład – zwozić siano. Byków, jak też koni, spieczieresielencom trzymać było nie położono²⁶.

Kopalin użytecznych w tamtych okolicach nie było. W ziemi natrafiano na warstwy jakichś skorupiaków. Spotykano też jakiś minerał, wielkości grochu. Nie było żadnych skał i kamieni.

– Przyroda dla nie przygotowanych stawiała się wrogiem. Żeby przeżyć, musieliśmy tak się dostosować, aby stała się naszym sojusznikiem – stwierdza mój rozmówca, a potem opowiada o świecie fauny tamtych stron.

Jakże on bogaty! Spotykało się niedźwiedzi, łosi, rysi. Miejscowi Rosjanie urządzali polowania, innym nie wydano zezwolenia na posiadania broni. Przymusowi osadnicy, żeby wyżywić się,

zastawiali sidła. Trafiały do nich przeważnie zające. Przed śmiercią wydawały tak żalosne głosy, że szkoda było tych zwierząt.

Niektórzy odżywiali się mięsem łosi. Z ich skóry robili podwijacze do szerokich nart, ze względu na bardzo puszysty śnieg. Na takich nartach dość wygodnie było przemieszczać się po zaspach – hamowało się pod sierść skóry.

Było jeszcze bardzo pocieszne zwierzątko w paski, które zapamiętał Tadeusz – morenduk. Pojawiał się na wiosnę. Gdy się potrafiło odpowiednio zagwizdać, zwierzątka podchodziły bardzo blisko, ale wystarczył najmniejszy nieostrożny ruch, żeby błyskawicznie umknęły. Wilków tu nie było.

W tajdze nie brakowało ptactwa. Były cietrzewie i głuszce, które z zachodem słońca chowały się do śniegu. Rano wylatywały z dużym łopotem skrzydeł ze swoich kryjówek. Spotykało się też dzięcioły. Zimą zabijały się one niekiedy na śmierć, gdy trafiały w lodowate drzewo... Zwierzęta – wydawało się – tak świetnie przygotowane do tych warunków, też czasem nie oszczędzały surowy klimat.

No, i jeszcze nie można zapomnieć o rybach. Tadeusz nigdy nie był zapalonym rybakiem, ale na Syberii nie mógł przejść obojętnie, kiedy zobaczył, jak ryby dosłownie wyskakują z wody,

by połykać motyle, wyglądem przypominające nasze kapuśniaki. Ryby miały kolor srebrny i czerwone piórka, a nazywały się chyba krasnopiórki, czy jakoś tak podobnie. Jak one brały! Wyskakiwały ponad powierzchnię wody, byle tylko dać złapać się! Tadeusz przynosił całe ich wiadra i wtedy to była uczta. Tylko do rzeki nie było tak blisko – chyba ze cztery kilometry. Ale się opłacało, bo w rzece można było wykąpać się, choć woda była pioruńsko zimna. Prawda, ryby w postaci suszonej dostarczali nie tyle rybacy co kłusownicy, których w tych stronach nie brakowało.

- Nie należeliśmy do myśliwych, ani rybaków, to warunki zmuszały do tego, żeby jakoś przeżyć – podsumował Tadeusz.

druga część ukaże się w poniedziałek, 6 lutego.

Staropolska biesiada

a literatura



Staropolska biesiada.

Maria Wichowa

Sarmaci wielce cenili sobie życie towarzyskie. Znane jest powszechnie rozmiłowanie dawnych Polaków w ucztach, które były swoistymi ośrodkami organizującymi lokalne społeczeństwo ziemiańskie. Czasem stanowiły jedyne atrakcje towarzyskie w

monotonnym życiu szlachty. Co prawda organizowano także polowania, grywano w szachy, ale naczelne miejsce w życiu towarzyskim zajmowało biesiadowanie.

Czym była staropolska biesiada? Wbrew pozorom pojęcie to nie jest całkiem jednoznaczne. Na ogół ten wyraz jest synonimem wystawnego przyjęcia, uczyty, bankietu. W staropolszczyźnie istniały jeszcze inne odcienie znaczeniowe. Jeden z nich wskazał Filip Kallimach. Pisarz twierdził, że Grzegorz z Sanoka nie lubił ucztowania z Polakami. (...) Arcybiskup lwowski uważał, że jego rodacy biesiadowali wyłącznie dla dostarczenia przyjemności podniebieniu, on zaś życzyłby sobie, aby na takim zebraniu towarzyskim dominował ton intelektualny. Rzeczywiście w takich okolicznościach Sarmaci odczuwali potrzebę wymiany myśli, toteż wystawnej uczcie towarzyszyła rozrywka umysłowa, konwersacja, czasem tworzenie okolicznościowych wierszyków, doraźne inscenizacje parateatralne. Wszystko to miało sprawić przyjemność, być uciechą dla ucztujących, dodatkową atrakcją spotkania. Zaś Łukasz Górnicki użył wyrazu biesiada w znaczeniu „przednia zabawa”, gdy pisał: *Król miał niemałą biesiadę dworując z tych, którzy się o ten żart gniewali..* Zatem nie jest to synonim uczyty. Raczej jawi się tu aspekt rozrywki, krotchwili.



Rysunek Maja Berezowska.

(...) Zabytki literackie wskazują na jeszcze jeden odcień znaczeniowy tego wyrazu. Istnieje satyryczny wiersz Anonima – Protestanta pt. *Biesiada o dobrym gospodarzu*. Sarmaci używali

zwrotu *biesiada o*, który w tym wypadku oznaczał rozmowę towarzyską, żartobliwą, żart, rozrywkę, pogawędkę, dysputę. Zatem przytoczony tytuł jest już czytelny, ale nasuwa jeszcze jedną refleksję. Mianowicie rodzi się podejrzenie, że wyraz *biesiada* wolno traktować tak jak określenie: waleta, wotum, mesjada itd. To stanowisko da się wesprzeć świadectwem epoki. Otóż pewien pamiętnikarz staropolski, niejaki Paszkowski pisał o hierarchii gatunków literackich i tematów stawiając fraszki, pieśni obok *biesiad*, apelując: *„Czytelniku (...), a to uważaj, że dziś świat abo raczej ludzie na nim tak się barzo powikłali, że wolą Fraszki, Fronce, Biesiady, Pieśni wszeteczne, Sowizrzały, Marchołty kupować niżeli co poważnego”*. Zatem owe „Biesiady” były niepoważne, zapowiadały czy gwarantowały łatwą rozrywkę. Zapewne były to obrazki z życia towarzyskiego, jak wymieniony utwór Anonima – Protestanta, sceny zabawne, dostarczające powodów do śmiechu. Dobrze było, gdy je czytał zgromadzonym „człowiek *biesiadny*”, obdarzony licznymi przymiotami towarzyskimi, dobry kpiarz, gawędziarz, posiadający łatwość prowadzenia konwersacji.

Temat *biesiady*, opisy uczty pojawiały się bardzo często na kartach literatury staropolskiej. Może warto przypomnieć niektóre dzieła. Listę otwiera wiersz Słoty *O zachowaniu się przy stole*, umieścić na niej wypada wspomnianą biografię Grzegorza z Sanoka pióra Kallimacha, liczne utwory poezji renesansowej z *Pieśniami* i *Fraszkami* czarnoleskimi włącznie i wyakcentować

istnienie *Biesiady o dobrym gospodarzu* Anonima Protestanta, wiersza zasługującego na uwagę badacza, wskazać bardzo liczne reprezentowaną poezję ziemiańską, uwzględniającą temat uczyty, a więc choćby H. Morsztyna *Dobrą myśl ochotnego gospodarza*, O. Karmanowskiego *Wesele towarzyskie*, S. Mińskiego *Żywot ziemiański*, S. Słupskiego *Zabawy orackie* i wiele innych. To poetyckie obrazki pokazujące obraz ziemiańskiej szczęśliwości ze szczegółami z jej życia wziętymi. Kapitałnym źródłem wiedzy o biesiadach Sarmatów są pamiętniki, choćby J. Ch. Paska czy K. Zawiszy.

Pełny opis uczyty, od przyjazdu gości do zakończenia zawiera wiersz Anonima – Protestanta. Zasługuje on na uwagę jako utwór „nietypowy”, tzn. w powodzi zachwytów szlacheckich autorów ideologią życia „na wsi spokojnej” jest odmienny, względem ziemiańskiej idylli nastawiony krytycznie. Krótko mówiąc mamy do czynienia z satyrą na sarmacką biesiadę.

Utwór ma ciekawą kompozycję. Poeta chętnie posługuje się mową pozornie niezależną i obficie cytuje wypowiedzi gospodarza biesiady, który za zachowaniem ogólnie przyjętego ceremoniału oczekuje przybycia gości. A że mamy do czynienia z satyrą, to przykładamy właściwą miarę do wyznania właściciela dworku: *Samym się sobą w tym dworzyszczu brzydę*. Jednak z pewnością jest tu echo obyczajowości szlacheckiej, nakazującej gościowi „nieba przychylić”, byle było mu dobrze u gospodarzy.

Trzeba pamiętać, że gościnność nakazywała panu domu wielkie staranie o wygodę odwiedzających, a uchybienie w tym zakresie kompromitowało pod względem towarzyskim.

Staropolska „nauka o grzeczności” wielkie obowiązki nakładała na przyjmującego odwiedzających. Nakazywała mu okazywać radość z przyjazdu gości, serdeczność, życzliwość, opiekuńczość. Był zwyczaj obfitego karmienia, obdarowywania, czynienia tysiąca uprzejmości. Przysłowie „gość w dom, Bóg w dom” jest kwintesencją tego zjawiska.

Autor przytacza wyznanie gospodarza uszczęśliwionego przyjazdem gości, a następnie referuje jego ostatnie, pośpiesznie wydawane zarządzenia, aby dbać o ciepło w mieszkaniu, aby sprawnie i szybko przyrządzić poczęstunek, nakryć do stołu, przygotować miejsce i pokarm dla przyjezdnych koni, a nawet omieść śliskie schody, dbając o bezpieczeństwo przyjezdnych. „Cytuje” też słowa powitania, bardzo znamienne dla staropolskiej gościnności.

Witajcież, moi łaskawi panowie,

Których ja zawsze mile oczekiwam,

A stąd niemalej radości używam

Bo kiedy już was, panów swych nie widzę,

Samym się sobą w tym dzworzyszczu brzydę,

Pójdźmy do izby, niż będzie gotowo,

A rzeczcie sobie jakie dobre słowo.

(w.: 30 i n.)

Z zacytowanego fragmentu wynika, iż staropolska gościnność wymagała bardzo wiele od gospodarza, jeśli chciał uchodzić za człowieka znającego się na grzeczności. Otóż pan domu musiał zapewnić, że przyjezdni byli mile oczekiwani, sprawili mu swym przybyciem wiele radości, że podczas przyjęcia goście mają we władzy gospodarza, który wszelkimi znanymi sobie sposobami zabiega o zapewnienie im wygód i przyjemności, różnych rozrywek, dobrej atmosfery wbrew oczekiwaniom czytelnika satyry. (...) Gospodarz, całkowicie skoncentrowany jest na zapewnieniu gościom wszelkich przyjemności i atrakcji, częstuje trunkami, każdego według jego upodobań:

Są też i księgi, jeśli kto chce czytać,

Jest i kałamarz, kto ma pozew pisać,

(...)

Jest kreda: kto chce, niech ściany maluje;

Niech to wątpienia nie czyni nikomu:

Wszystkim waszmościom radem w swoim domu.

(w.: 41 i n)



Rysunek Maja Berezowska.

Zaproponowane rozrywki były chętnie akceptowane (jedni się do kredy rzucili, drudzy w pozwy uderzyli), wiele rymów na ścianach uwieczniono, szlacheckie krasomówstwo prezentowane było w układanych pozwach, natomiast nic autor nie pisze o tym,

czy znaleźli się miłośnicy czytania książek. (...) Zapewne też opowiadano żarty, anegdoty (pieśni, wygłaszano zabawne przemówienia. Pamiętnikarze podają, że biesiadom często towarzyszyły polowania, gry w szachy, kuligi itp. K. Zawisza: *1695: W Berdyczowie stanąłem*).

Należało umyć ręce. Wbrew pozorom, wzmianka o tym zwyczaju nie stanowi chłodnej relacji „o zachowaniu się przy stole” lecz jest jego krytyką. W czasach Anonima Protestanta uważano mycie rąk przed posiłkiem za przesadę. Zwyczaj ten przybył z zagranicy i nie łatwo zakorzenił się przy sarmackich biesiadach. Zatem miało być na opisywanym przyjęciu niezwykle wytwornie, gospodarz nie uchybił żadnemu ze swych obowiązków, znał i stosował dworne obyczaje. Goście również. W oczekiwaniu na podanie mis panowie dystyngowanie gładzili brody, wszyscy biesiadnicy dbali o nienaganne maniery. Zdaje się, że to „dworstwo obyczajów” było przestrzegane tylko na początku przyjęcia. Do ceremoniału należało podanie wilkoma, pucharu, „którym nowego gościa witano, a ten go całkiem spełnić musiał”. Kielich ten bywał wielkich rozmiarów, czasem mieścił garniec napoju. Podobne obyczaje panowały w Rzeczypospolitej Babińskiej. Burgrabia tego wesołego towarzystwa podawał kandydatowi na obywatela Babina wilkom, który trzeba było wychylić do końca. Zdaje się, że obyczaj szanowano, ale nie budził entuzjazmu spełniających toast tym pucharem, o czym świadczy fraszka Kochanowskiego:

Skarżysz się, że cię wilkom ktoś wczora pić musiał

Który cię wilk chrzypotą o włos nie zadusił,

Ale się dobrze skarżysz, wszak to pospolita

Wilkowi, że za gardło każde bydlę chwyta.

Spełniono wiele innych pucharów i toastów. Grzeczność nakazywała, aby kierowano je do gospodarza, z którym „przepijano”. Sporo uwagi poświęcił „nalewaniu i przepijaniu” H. Morsztyn w *Dobrej myśli* konkludując „Wszyscy dziś podpijemy sobie”.

W analizowanym wierszu Anonima Protestanta:

Jednemu zatem wilkom przyniesiono,

Ale iż prosił zaś odpuszczono.

Bo tego wszystkim gospodarz pozwolił:

Pij, co kto raczysz!

(...) Anonim Protestant nie zamieścił w *Biesiadzie o dobrym gospodarzu* opisu uczty, podawanych napojów i potraw, a tego rodzaju relacje pojawiały się w staropolskiej poezji ideałów ziemiańskich. Olbrycht Karmanowski w wierszu *Wesele towarzyskie* przedstawił dość dokładnie przyjęcie weselne zaś mniej szczegółowo podawane tam potrawy, zwrócił też uwagę na ceremoniał weselny.

A ty, krajczy wprzód mięso postaw do rosołu!

Potem niecha z korzeniem co ciepłego dają:

Są kuny, jest zwierzyna, i flaki być mają.

(w.: 18 i n.)



Rysunek Maja Bereżowska.

W „drugim noszeniu mało było „warzystego, więcej pieczystego”. Zatem dość pobieżnie poeta zainteresował się tym, co zawierały misy i puchary weselne, bardziej skupił uwagę na przebiegu uroczystości i związanych z nią obrzędach. Wszystko to

zaprawione jest lekką ironią.

Natomiast prawdziwą ucztę dla podniebienia szczegółowo zrelacjonował Hieronim Morsztyn w wierszu *Dobra myśl ochotnego gospodarza*. Kurczęta, gęś, kapłony, kura w żółtej jusze, a druga „słodzusiętko z piotruszką usmażona”, „kąsek borowej zwierzyny”, torty, pasztety z kreplami, kołaczki z cukrem, z rodzynekami, gorzałeczka, wino, mięso wszelkie, ryby: łosoś, lipienie, rosła szczuka (szczupak), cielęciny sztyka, bażant, sałata z ogórkami (choć w tym szlachta mniej gustowała), miski z kiełbasami, przypiekane małdrzycki, miód w domu sycony. Przy tak zastawionym stole brać szlachecka „rześko piła”. Wszystkie podane przez Morsztyna szczegóły miały uzmysłwić czytelnikowi, jakich rozkoszy dostarcza ziemianinowi przebywanie w wiejskiej Arkadii, jak błogo i wesoło płynie życie, jak urozmaicone i pożądane są spotkania towarzyskie, ile wtedy zakosztować można rozkoszy podniebienia. Produktów do sporządzenia opisanych przysmaków dostarcza dobrze prowadzone gospodarstwo ziemiańskie. (...)



Rysunek Maja Berezowska.

Oddajmy głos pamiętnikarzowi, który był wielkim panem, należał do elity towarzyskiej, pijał z samym królem. Mowa o Krzysztofie Zawiszy, wojewodzie mińskim, żyjącym w latach 1666 - 1721.

1697 29 XII s. 52 [Król] w Sławkowie traktował senatorów, i z innymi i z nami stanu rycerskiego napił się do woli. Był tam od JP Lubomirskiego, marszałka nadwornego koronnego, ambasador JP Pborski, starosta liwski, z przeprosinami od pana posłany, który napiwszy się różnie i nieprzystojnie występował, za co był konfundowany.

Innym razem pamiętnikarz pisał o swoich imieninach:

1698, lipiec

25 na św. Krzysztof hojnie traktowałem: był u mnie JP wojewoda miński, który mię dobrze wiązał; była okolica wszystka. Ten dzień na wielkiem pijaństwie odprawiliśmy.

A tak oto Zawisza relacjonował atmosferę zabawy karnawałowej w 1699 r.:

24 I

Zapusty odprawiłem u siebie w Rohotnej w kompanii arcydobrej (..). Dziwnie hulaliśmy wesoło, żartowali, pili niezmiernie, tańcowali do upaści i nóg bolenia; jeździliśmy

po nocy kulika itd. We środę goście późno bardzo rozjechali się (...). Po tych dniach całe dwa dni leżałem.

Nawet król był zmuszony przyjąć obyczaj swoich sarmackich poddanych:

19 czerwca 1699

z królem na pokoju upiłem się do sytości, wino wprzód, potem gorzałkę pijąc, czyli dubl (double) anyż, któregośmy z królem po razy pięć napili [się].

Wojewoda miński nie uznałby za godnego partnera do kielicha zacnego Piotra Rozjusza, wstrzemięźliwego doktora Hiszpana z fraszki Kochanowskiego, który chciałby poprzestać na jednej szklanicy wina, ale weseli kompani nakłonili go do wychylenia dziewięciu, po których „mózg się mu zmącił”. (...)



Rysunek Maja Bereżowska.

Czasem biesiadę urozmaicała maskarada. Pisał o tym mi. im. Zawisza:

25 XII 1694

Na Boże Narodzenie byliśmy u JP cześnika w Indurze; był JP strażnik, JP Massalski, chorążyc grodzieński itd. Dni i nocy na biesiadach w miłej konwersacyi trawiliśmy. Tamże i sceny różne wyprawowano, między którymi najlepiej swoją udał p. Bury, pokojowy JP strażnika, ubrany po białogłowsku, mający na stronie osobę damy lubieżnej; udał także swoją scenę i p. Blinstrup, także pokojowy JP strażnika ubrany za cygana: tenże potem służący niby semikowemu szlachcicowi panu Trzeciakowi.

Jak wynika z opisu był to rodzaj widowiska ponad teatralnego, forma zabawy, w której brali żywy udział zarówno „aktorzy” jak i „widzowie” i gdzie trudno wskazać granicę między „nadawcą” i „odbiorcą” „programu rozrywkowego”. Forma rozrywki nie wychodzącej poza ściśle określoną społeczność biesiadników, występ jednorazowy, związany z konkretną sytuacją towarzyską, w której zaistniał. Zapewne w takich momentach mógł w pełni wykorzystać swe talenty człowiek biesiadny. (...)

Gospodarz baczny, mając to na pieczy,

Aby wždy takie zawiedziono rzeczy,

Ku złemu końcu tak nie przychodzili,
Zwłaszcza gdy starszy tej roty nie bili,
Koło nich chodząc, tak tego przestrzegał.
By się ten dalej ogień nie zażegał.
Cudnymi często słowy napomniał,
By w domu jego nikt nic nie poczynął,
Co by tuż przy nim komu szkodzić miało,
Mieniąc, że by go to boleć miało.

(w.: 219 i n.)

(...) Autor *Biesiady*... doskonale znał rzemiosło satyryka. Współczesne mu poetyki (Scaliger, Pontanus) dostarczały niezbędnej wiedzy o tym gatunku, a wspierała je owocnie praktyka pisarza. Refleksja teoretyczna o satyrze pojawiła się w Polsce w XVII w. Łukasz Opaliński istotę tego gatunku wyjaśnił następującymi słowami:

Jeżeli zaś daje

Słuszną naganę albo obyczaje

Ostrą satyrą sądzi i strofuje,

Przymawia albo drwi, szydzi, żartuje,

To tak w lat czyni, tak piórem maluje,

Że prawdziwego nic się nie znajduje.

(w. 147 i n.)

(...) U Kitowicza, Paska, Rzewuskiego zapoznać się można z rytuałem biesiadnym XVII i XVIII w., w którym szacunkiem darzono „tęgą głowę”, nadzwyczaj wytrzymałych pijaków, bijących rekordy spożycia trunków, z uznaniem pisano o pijackich figlach, z zainteresowaniem słuchano opowieści o tym, co też się działo na sławnych biesiadach, choćby u księcia Karola Radziwiłła „Panie Kochanku”. A miały miejsce ekscesy tak zdumiewające, że nawet satyryczna wyobraźnia Anonima Protestanta nie byłaby w stanie takich scen wykreować, w wieku XVI, kiedy to biesiadowali „poćciwi” sarmaci.

Danuta Irena Bieńkowska (1927-1974)

Florian Śmieja



Danuta Irena Bieńkowska

Powtarzamy zazwyczaj, że pamięć ludzka jest krótka, ułomna, a zdarza się, że wcale nie zainteresowana, by zachować zapis niektórych wydarzeń i ich aktorów. Dawniej prasa poświęcała mu swoje kolumny pieczołowicie odnotowując z kronikarskiego obowiązku zgony i dokonania zmarłych. Dziś ambitnej prasy jest co raz mniej, gazety proponują sensację i rozrywkę, nietrwałe

felietony i efemerydalną sieczkę. Utrwalanie ważniejszych zaszłości, przegląd wybitniejszych postaci, które przewinęły się przez scenę, nie obowiązują. Jeżeli jeszcze dodać brak dobrej woli, zapomnienie grozi wielu dawniej respektowanym zwyczajom.

Była wśród nas w Toronto poetka i nauczyciel akademicki Danuta Irena Bieńkowska (1927-74). Choć umarła młodo tragiczną śmiercią, zapisała się znacząco jako literatka i pedagog.

Urodziła się w Toruniu 7 grudnia 1927 roku w rodzinie zawodowego podoficera, lecz znalazłszy się w czasie wojny na terenach zajętych przez wojska sowieckie, została wraz z rodziną wywieziona do Uzbekistanu. a potem przez obozy uchodźców polskich przez Iran i Indie dostała się do Anglii. Krótkie dzieciństwo w Polsce miało się dramatycznie przemienić w tułaczkę na nieludzkiej ziemi, a potem, w orientalne niespodzianki Bliskiego Wschodu. Szczególnie zafascynowały ją Indie, których urok miał przetrwać do końca.

W Anglii podjęła studia literatury i języka rosyjskiego i angielskiego. Wyszła też za mąż, jak się miało okazać, nieszczęśliwie. Po przeniesieniu się do Kanady kontynuowała studia, a doktorat obroniła w Londynie, obierając za temat wczesną twórczość pisarską Stefana Żeromskiego.

W Toronto na uniwersytecie objęła lektorat języka polskiego, a później awansowała na profesora nadzwyczajnego. To ona opracowała i wprowadziła kursy literatury polskiej obejmujące teatr, prozę i poezję. Zajmowała się również folklorem słowiańskim. Dzięki jej wkładowi społeczność polska w Kanadzie doczekała się wprowadzenia języka polskiego do ontaryjskich szkół średnich.

Współpracowała z prasą emigracyjną. Drukowała w londyńskich "Wiadomościach", "Kontynentach", paryskiej "Kulturze" i torontońskim "Związkowcu" Dwa tomiki wierszy napisanych po polsku (pisała również po angielsku) pozwalają na wgląd w jej życie samotnicze, pełne rezygnacji i ataków choroby, a przecież pragnęła je rozegrać jak bajkę. Tak pisała w momentach optymizmu. Kiedy indziej odzywała się nuta niepewności:

Między nocą a dniem,

Między trwogą a nadzieją.

Snuję, plotę swoje życie.

I wyszywam białą-czarną nitką

Linie kręte, splątane,

Nigdy swego niepewne.

A potem była nawet prośba o tabletkę na śmierć. “Wiersze mi smutnieją pod piórem”, wyznała:

I pochylają głowy

Niedokończonych słów

Jakby im zaciążył ten ból.

Zaczęła jej doskwierać samotność, bała się nocy

Jestem sama

Bardzo sama

Bez uniesień.

Boję się umierać na raty,

Duchów w nocy,

Snu.

Ale jeszcze się broniła, ogłaszała uczucia na sprzedaż, jak jabłka w koszu:

Mam w sobie cały zapas

Niezużytych uczuć.

I uśmiecham się do kwiatów

I do ptaków.

Potem siadam przy oknie

I czekam.

Może nawet nie czekam

Tylko trwam.

Trwa we mnie czekanie

Na jedno dobre słowo

Które można zatrzymać

Bez lęku.

Czekanie nie miało końca, bolała pustka. Zrodził się lęk:

Boję się samego siebie,

Tej ręki, co mnie pcha

W wielką niewiadomą

W noc.

Odsłonię wszystkie okna

Otworzę wszystkie drzwi,

Może uda mi się uciec.

Już się ogień zapalił.

Los zagląda przez szyby,

I zimnymi palcami puka.

Boję się.

Raz po raz pojawiały się nuty rozpacz. Czuła, że stała się zwiędłym, nikomu niepotrzebnym liściem.

A potem się oderwę

I wolno będę spadać

Bez żalu i bez lęku

W niebyt.

To prorocze spadanie miało się ziścić 9 lipca 1974 roku, kiedy zginęła w katastrofie kolejki linowej w norweskim Bergen.

Na szczęście, literacka spuścizna Bieńkowskiej została opracowana z pietyzmem przez lojalnego kolegę profesora Bohdana Budurowycza i wydana w tomie "Między brzegami" przez Kanadyjsko-Polski Instytut Badawczy w 1978 roku. Profesor Louis Irribarne napisał solidny wstęp w języku angielskim. Edycja obejmuje poezję, wybór prozy oraz troskliwie zebraną bibliografię pism Bieńkowskiej. Ta książka, piękny hołd dla nieprzeciętnej postaci na arenie polskiego życia kulturalnego w Kanadzie, potwierdza gorzkie słowa epitafium „Pozostały po mnie wiersze...”, ale także, wbrew pesymizmowi, pamięć prawdziwych przyjaciół i wiernych czytelników.



Toronto, fot. Jacek Gwizdka.